Nr. 39. Poznań, Niedziela 29. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Czas odnowić przedpłatę!

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ znajdować się będzie od 2-go października b. r. przy ul. św. Marcina Nr. 22.

Wybory galicyjskie.

Kraków, 23-go września.

Jesteśmy w pełnym sezonie wyścigów o mandaty poselskie do sejmu krajowego. Jak wyścigi konne, tak i te są przeważnie tylko „pańską“ zabawką. Ztąd też każdy wie z góry, że pomimo wszelkich zabiegów i starań stronnictw postępowych, umiarkowanych i radykalnych, przyszły sejm będzie miał barwę konserwatywną, bo wejdzie do niego kilkunastu panów, których otoczy szlachta i półszlachta, posłuszna na pańskie rozkazy i skinienia.

Austrya jest państwem na wskroś arystokratycznem — gdziekolwiekbądź rzucisz okiem, na każdem wybitniejszem stanowisku znajdziesz barona, księcia lub hrabiego. Nie przypominam sobie n. p. na razie, czy był kiedykolwiek prezesem ministrów austryackich jakikolwiekbądź zwykły szlachcic lub człowiek „podlejszego urodzenia“. Tworzy obecnie gabinet hr. Kazimierz Badeni i w gabinecie tym zasiadać będzie dwóch baronów, czterech hrabiów, a jeden tylko szlachetka Biliński. Jestto zaiste godne podziwienia jak w Austryi natura wysila się, aby geniuszem i talentami wyposażyć głowy jasnych panów, z uszczerbkiem naturalnie sfer szlacheckich, tak zwanych średnich i niższych. Jak w Austryi, tak samo dzieje się i w Galicyi. Z nietytułowanych jeden jedyny Zyblikiewicz dochrapał się ongi stanowiska marszałka krajowego, ale go niezadługo z niego wygryziono, pomimo. że był konserwatystą. Nie można się więc dziwić, że co rok przybywa Galicyi jakiś nowy hrabia, owszem dziwić się należy, iż przybywa ich tak mało, boć każdy stary, a nawet niekoniecznie stary szlachcic, jeżeli tylko ma pieniądze, może sobie zafundować tytuł a wraz z nim otrzymać patent na głowę genialną, a przynajmniej znakomitą, do której zwróci się naród z prośbą o przewodniczenie, a czasem nawet państwo całe z prośbą o współsternictwo jego nawą.

Dla dobra jasnych panów tak tytułowanych jak nietytułowanych wymyślono też odpowiednią organizacyą wyborczą, tak do rady państwa jak i do sejmu. Podzielono wyborców na trzy kurye: większą własność, miasta i własność mniejszą (prócz tego po jednym pośle wybierają trzy izby handlowe). Przez stworzenie kuryi wielkiej własności, zabezpieczono dla szlachty znaczną ilość mandatów, a ponieważ brat szlachcic dawno już zapomniał, że choć na zagrodzie równy jest wojewodzie, a natomiast pamięta jak mu było dobrze ongi służyć Sapiehom, Czartoryskim, Radziwiłłom, przeto magnaci śmiało na jego głos mogą liczyć. Wprawdzie z kuryi większych własności wychodzi część szlachty, ale są to albo półpankowie, którzy niezadługo przejdą do rodów utytułowanych, albo też ludzie zdolni, z panami trzymający, a więc im potrzebni. Panowie zresztą mają jeszcze drugą kuryę, która dotychczas była zawsze na ich rozkazy, a mianowicie: kuryę mniejszych posiadłości czyli krócej i właściwiej mówiąc, włościańską. Nikomu na myśl nie przychodziło, aby chłop mógł wybierać chłopa, a więc logicznie, ze znajomością stosunków, sądzono, że odda swe głosy szlachcie i magnatom. I rzeczywiście kurya ta wybierała prawie bez wyjątku tylko jasnych panów i popieraną przez nich szlachtę. Dla inteligencyi, dla przedstawicieli handlu przemysłu, pozostawiono tylko najdrobniejszą kuryę miast większych, która wybiera zaledwie 20 posłów. A i w tej kuryi niejednokrotnie udawało się przechodzić jeżeli nie wprost jaśnie panom, to przynajmniej ludziom do ich stronnictwa jawnie się zaliczającym. Ażeby zaś jaśni panowie, oraz ich główni adherenci nie stracili potrzebnych im mandatów, urządzono rzecz w ten sposób, że wybory naprzód odbywają się z kuryi miejskiej i włościańskiej, a dopiero w kilka dni później z kuryi większych własności. Ztąd, jeżeli któremu z jasnych panów lub której z osobistości im potrzebnych pośliźgnie się noga przy wyborach z dwóch pierwszych kuryi, wówczas może mieć pewność, że większa własność wybierze go i uratuje kraj od nieszczęścia, jakiem byłby brak między posłami „tak znakomitego i zasłużonego obywatela“.

Tak sztucznie skombinowana ordynacya wyborcza największą krzywdę wyrządza inteligencyi. Kiedy stu szlachty zjechawszy się w Krakowie z 9-ciu najbliższych powiatów wybiera 6-ciu posłów, inteligencya krakowska posiadająca 1800 głosów razem z 2500 wyborców ze sfer nieinteligentnych wybiera trzech posłów. Jeszcze gorszy stosunek jest w miastach takich jak Tarnów, Przemyśl, gdzie inteligencya stanowi zaledwie $\frac{1}{5}$ część wyborców. A jeżeli należysz do inteligencyi i mieszkasz w mniejszem miasteczku, to choćbyś był doktorem wszystkich fakultetów, choćbyś był najtęższą głową w całym kraju, to nie masz jeszcze prawa oddania swego głosu, jeżeli się nie postarasz, abyś przy pra-wyborach został powołany na wyborcę. W mieście np. liczącem 5 tysięcy mieszkańców i posiadającem ze sto osób należących do inteligencyi, jest tylko dwunastu wyborców powoływanych ze wszystkich sfer miasteczka — cała więc inteligencya rozporządza 5-ma lub 6-ma głosami. Mieszkając we Lwowie, Krakowie, Tarnowie, Przemyślu itp. jesteś wyborcą zajmując posadę oficyała pocztowego, drugorzędnego urzędnika na kolei, nauczyciela ludowego lub t. p., jeżeli zaś mieszkasz w Bochni lub Wadowicach, to możesz być dyrektorem gimnazyum, prezesem sądu, a nie być wyborcą. Właściwie więc biorąc, prawo wyborcze w całej pełni służy tylko szlachcie, w gminach wiejskich mają olbrzymią przewagę chłopi, ludność małych miasteczek nic nie znaczy, a większym miastom rzucono ochłapy, o które drą się inteligencya, przemysłowcy, kupcy, rękodzielnicy, będąc zawsze na łasce żydów, którzy głosami swemi rozstrzygają wybory (trzej posłowie izb handlowych są zwykle żydami). Trudno doprawdy o większą karykaturę prawa wyborczego w państwie konstytucyjnem.

Obecne wybory nie zmienią postaci sejmu, ale są ciekawe przez wstąpienie w szranki dwóch stronnictw ludowych, jednego noszącego nazwę „stronnictwa demokratycznego“, (Lewakowski, Rewakowicz, chłop Bojko, Stapiński, chłop Orzechowski i t. d.) i drugiego, będącego niby organizacyą wyłącznie włościańską, a występującego pod firmą „Związku chłopskiego“. Zanim jednak wspomnę o wyborach ludowych, zanotować muszę, do jakiego stopnia troska o mandaty pomięszała wszelkie pojęcia, utworzyła istny Babel zapatrywań i kierunków.

Rozpoczęto naprzód walkę o prawowitość centralnego komitetu wyborczego, wybranego przez Koło sejmowe Komitet ten uznał się za jedynie prawny i żądał, aby cały kraj poddał się jego woli. Z jego ramienia tylko mogą być zawiązywane komitety wyborcze, on tylko ma prawo zatwierdzać kandydatów, on podaje wzór zawiązywania komitów miejscowych, komi-

tety te muszą się rządzić jego regulaminem, a kto przeciw niemu wystąpi ten jest anarchistą, przeciwnikiem ładu społecznego, wyznawcą liberum veto i liberum conspiro. Z pojęciem wolności wyborów i wolności obywatelskiej zapatrywania takie nie stoją w żadnej zgodzie. Na zapytanie, kto dał mandat komitetowi centralnemu do ujęcia w ręce całej akcyi wyborczej, słyszymy zawsze stereotypową odpowiedź: powołali go do życia dawni posłowie. Ależ w takim razie komitet centralny wybrany przez byłych posłów i złożony z byłych posłów nasuwa mimowoli podejrzenie, iż jest organizacyą tych i dla tych, co chcą napowrót odzyskać wygasłe mandaty, — ależ komitet centralny wybrany przez większość konserwatywnego sejmu, jest przedstawicielem jednego tylko stronnictwa, bo choć powołano do niego kilku członków stronnictwa postępowego, to znajdują się oni w takiej mniejszości, iż żadnego wpływu decydującego na postanowienia komitetu mieć nie mogą. Jak z jednej strony nikt nie może zaprzeczyć, iż komitet centralny miał prawo zawiązać się, tak z drugiej strony równie prawowite są wszystkie inne komitety, zawiązane bez współudziału komitetu centralnego. Nie można się dziwić konserwatystom, że przez wzgląd na swoje dobro podnoszą powagę komitetu centralnego i wszelkie inne nazywają „samozwańczemi“, jak również trudno się dziwić liberałom, iż swoje komitety nazywają prawnemi a „samozwańczym“ chrzcą komitet centralny. Wszystkie te komitety razem wziąwszy są i prawne i samozwańcze zarazem: prawne, bo się zawiązały w granicach obowiązujących ustaw, a samozwańcze o tyle, iż nie powołał ich do życia ogół wyborców, lecz zawiązały je rozmaite koła i kółeczka ludzi, którzy chcą na swoją rękę kraj zbawiać, ale prawie zawsze z uboczną myślą zbawienia przedewszystkiem siebie i swego stronnictwa lub koteryi.

Kłótnie o prawowitość komitetów zajęły „czasu“ nie mało i zaczerniły sporo „atłasu“ dziennikarskiego. Rezultat ich żaden: konserwatyści poddali się komitetowi centralnemu, boć to leżało w ich interesie, inne stronnictwa dla tego samego powodu potworzyły swoje własne komitety. Z całej tej walki wypłynęło tylko kilka objawów zabawnych, stwierdzających owo pomieszanie pojęć, o których powyżej wspomniałem.

I tak n. p. Lwów nie uznał kompetencyi centralnego komitetu wyborczego. Znaczyło to, że nie przyjmie narzuconych sobie kandydatów, znaczyło, iż wyraża niezaufanie dotychczasowym swoim posłom, którzy brali udział w utworzeniu komitetu centralnego, znaczyło więc, że pragnie wybrać nowych ludzi, bo dotychczasowi są za mało demokratyczni, za zbyt powolni konserwatystom. Tymczasem nie wyłoniła się dotychczas żadna nowa kandydatura, a kandydują tylko dawni posłowie: Smolka, Romanowicz, Goldman i Michalski, z których pierwszego zwolniono nawet od złożenia sprawozdania. Niedość tego; huczne, przeciągłe oklaski towarzyszyły mowie pana Romanowicza, mowie, będącej pochwałą ubiegłej sesyi sejmowej, a więc pochwałą działania większości konserwatywnej. Ten sam pan Romanowicz, którego wybór spotykał się zawsze z gwałtowną opozycyą stronnictwa konserwatywnego, otrzymuje teraz pochwały od „Przeglądu“, organu konserwatystów i jest prawie kandydatem „rządowym“. Oświadcza się przeciw powszechnemu głosowaniu, mówi czule na temat zgody stanów, a ostro przeciw walce klas, — kiedy równocześnie „Nowa Reforma“, organ jego przyboczny, którym literalnie rządzi i do którego ostentacyjnie się przyznaje, kruszy kopie za głosowaniem powszechnem i do walki klas zagrzewa. Dla tem większej wreszcie konsekwencyi p. Romanowicz, członek centralnego komitetu sejmowego, podpisujący odezwy tegoż komitetu, dowodzące jego wyłącznej „prawności“, przybywa do Krakowa, aby brać udział w komitecie „samozwańczym“, walczącym przeciw kandydatom komitetu centralnego. I wszystko to daje się ze sobą pogodzić i p. Romanowicz nazywa się demokratą „starej daty“, jakoby ci dawni demokraci mieli w swym programie siadanie na dwóch stołkach.

A oto drugi przykładzik konsekwencyi: Stanisławów i Nowy Sącz odrzucają powagę komitetu centralnego, zrywają ugodę, zawartą z konserwatystami przez reprezentacyę miast, idą więc do boju w imię postępu, niezależności, demokracyi i t. d. i t. d. i, — stawiają jednogłośnie kandydatury... dwóch ekscelencyi: Bilińskiego i Dunajewskiego, którzy przedstawiają skrajny odłam konserwatyzmu.

W Krakowie antysemicki „Głos Narodu“ popiera kandydatury p. Chrzanowskiego i prof. Henryka Jordana, a „Czas, drukujący artykuł za artykułem przeciw antysemityzmowi, ma swoich kandydatów w osobach... prof. Jordana i p. Chrzanowskiego. Kandydat dr. Weigel, uchodzący zawsze za liberała i jako taki popierany przez „N. Reformę“, broni się na zebraniu przedwyborczem od zarzutów stawianych mu z powodów sprzeniewierzenia się programowi demokratycznemu i powołuje się na przychylną ocenę działalności lewicy sejmowej przez... „Przegląd“, organ konserwatystów. Adwokat Styczeń, należący do komitetu „mężów zaufania stronnictwa demokratycznego“, czyli krócej mówiąc do komitetu „N. Reformy“, związawszy się solidarnością, iż będzie popierał tych kandydatów, których owi „mężowie zaufania“ większością głosów wybiorą, po głosowaniu, na którem większość głosów otrzymali pp. Weigel, Rotter i Sokołowski, pozwala się stawiać jako kandydat stronnictwa „niezawisłych“ i jako taki występuje z wyznaniem swej wiary politycznej przed wyborcami.

Głośni członkowie lewicy sejmowej, okrzyczani za zdrajców demokracyi, Szczepanowski i Rutowski, biją się w piersi dowodząc, że są czystej krwi demokratami, a jednocześnie zyskują poparcie przez rząd swych kandydatur i otrzymują głosy wszystkich konserwatystów.

Z drugiej strony kandydaci ze sfer arystokratycznych i szlacheckich oświadczają, że są demokratami, jak p. Chrzanowski w Krakowie lub jak hr. Roman Potocki i inni jaśni panowie, że wstąpią do stronnictwa ludowego, reprezentowanego przez „Związek chłopski“, którego organ każdego „inteligentnika“ uważa za pasożyta, tuczącego się potem chłopskim, i wzywa do wybrania samych tylko włościan. A ci włościanie znowu, będący pod wpływem „Związku“, popierają w znacznej części kandydaturę pana Znamirowskiego, przeciw Potoczkowi, prezesowi i głowie „Związku chłopskiego“. Pan Włodek znowu, ów głośny pan Włodek, co to pierwszy podeptał powagę „jedynie prawnego“ komitetu centralnego i przeprowadził swój wybór do Rady państwa przeciw prof. Milewskiemu, kandydatowi tego komitetu, jest obecnie prezesem miejscowego komitetu bocheńskiego, utworzonego z ramienia komitetu centralnego i poucza chłopów, że nie wolno wyłamywać się z pod opieki komitetu centralnego, że solidarność narodowa wymaga, aby głosować za kandydatem przez ten komitet postawionym.

I czy patrząc na to wszystko, może widz bezstronny uwierzyć, że wybory galicyjskie odbywają się w imię zasad? Troska o mandaty, gwałtowna chęć ich zdobycia, oto cel główny i jedyny większości kandydatów, szukających karyery lub poparcia swoich interesów, ku czemu stanowisko posła sejmowego może być dogodnem. Proszę mi znaleść n. p. choćby dziesięciu konserwatystów-katolików, którzyby, ubiegając się o mandat z kuryi miejskiej lub wiejskiej, zastosowali się do listu pasterskiego, wydanego w sprawie wyborów przez biskupów galicyjskich. W liście tym czytamy wyraźnie:

„Niegodnem jest posługiwać się przekupstwem, które jest grzechem zgorszenia, jak każda przedajność wstrętną niesumiennością.

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WANDA (*otrząsa się z smutku, obojętnie*).

Proszę, nie czytam.

LEON (*j. w.*)

Lecz może pani nie lubisz, gdy ci przerywają smutne myśli?

WANDA (*obojętnie*).

Co to za wspaniałe dzieło „Germinal“.

LEON (*siada obok niej, roztargniony*).

A czytasz pani Zolę?...

WANDA (*lekko drwiąco*).

Może i to pana gorszy?...

LEON (*uśmiecha się z przymusem*).

Cóż znowu! To naturalne!... to jest... chciałem co innego powiedzieć...

(*Głuche, przykre milczenie.*)

WANDA (*swobodnie*).

Nie było dziś do mnie listu?...

LEON (*roztargniony*).

Nie dowiadywałem się o pocztę.

(*Milczenie.*)

LEON (*niepewnie*).

Pani droga!

WANDA (*j. w.*)

Co takiego?

LEON (*j. w.*)

Nie bądź tak obojętna?

WANDA.

Chcesz pan rozmawiać? Jestem w usposobieniu uprzejmem.

LEON (*stłumionym głosem*).

Szukałem panią wszędzie... w ogrodzie. Myślałem, że jak codzień wieczorem chodzisz po alei... Chciałem ci coś powiedzieć i zapomniałem, zastawszy cię tutaj.

WANDA.

Przypomnij pan sobie.

LEON (*j. w.*)

Przez długą chwilę stałem we drzwiach... zdawało mi się, że wyrządzę ci krzywdę, przerywając posępną zadumę.

WANDA (*z uśmiechem*).

A jednak zdobyłeś się na to.

LEON (*pochłonięty własną myślą*).

Zdawało mi się, że cię trzyma w swych szponach smutek wielki jak rozpacz. (*z prośbą*) Czy możesz mi pani powiedzieć, o czem myślałaś?...

WANDA.

Przemyślane już... niepotrzebne.

LEON (*wzburzony*).

Zasługuję na te słowa!

(*Milczenie.*)

WANDA.

Która godzina?

LEON (*szydersko*).

Bądź pani spokojną! Skompromitowaną nie będziesz.

WANDA.

Na co to niepotrzebne szyderstwo?

LEON (*gorzko*).

Prawda! Pani wyższą jesteś ponad sąd ludzki!

WANDA.

Dla czego pan wszystko zaczepiasz goryczą?

LEON.

Dla czego? Bo ona jest we mnie, w pani, w życiu całem!

(*Milczenie.*)

LEON (*hamując się.*)

Czy to prawda, co mówiła Rózia?

WANDA.

Ona często nie domyślając się, robi trafne uwagi.

LEON (*z wzrastającą prośbą*).

Czy to prawda, co powiedziała?...

Przekupstwo i przedajność zawsze i wszędzie, gdziekolwiek się pojawia, czy w sądzie, czy w urzędzie, czy przy wyborach, są w oczach ludzi obrzydliwą nieuczciwością, a wobec Boga stokroć obrzydliwszym jeszcze grzechem... Ostrzegamy wszystkich, że grzeszą przy wyborach zarówno ci, co głosy swoje sprzedają, jak i ci, co je kupują, grzeszą i ci, co biorą, i ci, co dają".

Tak mówią biskupi, a każdego kandydata katolika słowa te obowiązywać powinny, jeżeli sam nie ma w sobie na tyle pojęć etycznych, że nie jest mu wstrętną demoralizacya ludu przez przekupstwo i przedajność.

Ba, ale jak tu przejść głosami ludu bez pieniędzy, kiedy się przez ten „kochany lud" całkiem nie jest znanym, albo też żadnych z nim nie utrzymywało stosunków. Jak tu przyjść do włościan i powiedzieć: „wybierajcie mnie", kiedy mogą zapytać: „kto pan taki?" albo „coś pan dla nas zrobił, kiedy chcesz abyśmy cię obdarzyli zaufaniem?" A więc rozpuszcza się agitatorów, którzy poją, bałamucą lub wprost płacą. Wprawdzie według ustaw austryackich tak przekupywany jak i przekupujący mogą i powinni być karani, ale trzeba złapać na uczynku, a któż ma łapać, jeżeli nie władze rządowe. Ba, kiedy znowu te władze rządowe nie chcą wiedzieć o tem, kto przekupuje, choć nazwiska pośredników wszystkim są wiadome, choć się oni nie tają bynajmniej ze swoją „pracą". Ale jakże ma ich rząd ścigać, kiedy sam na wielką skalę przyczynia się do demoralizacyi, kiedy za kandydaturami „pańskiemi" czyli „rządowemi", bo to na jedno wychodzi, agitują władze administracyjne, dopuszczając się na każdym kroku wszelkich nadużyć. Starostowie rozpędzają zgromadzenia bez żadnego powodu, inspektorowie podatkowi grożą opornym przyspieszaniem sekwestracyi lub licytacyi, żandarmi biją, aresztują. Możnaby zapisać całe arkusze samem prostem wyliczeniem tych tylko nadużyć, jakie doszły do wiadomości ogółu za pośrednictwem dzienników, a jest to zaledwie setna część tego, co się dzieje. Dla przykładu przytoczę tylko jeden obrazek z Cholerzyna, wsi leżącej o milę od Krakowa — obrazek osnuty na zeznaniach świadków złożonych w kancelaryi adwokata krakowskiego, dr. Władysława Kastorego.

Dnia 11 września przybył do Cholerzyna w asystencyi dwóch żandarmów komisarz starosta p. Dobrowolski dla przeprowadzenia prawyborów tj. dla wybrania przez chłopów cholerzyńskich dwóch wyborców, mających prawo głosowania na posła. Chłopi chcieli wybrać dwóch gospodarzy, Jana Bartyzela i Mateusza Lipiarza, a żandarmom kazano, aby przeprowadzili wybór wójta i chłopa Korzeniaka. Żandarmi więc rozpoczęli agitacyę od namów prośbą i groźbą. Mówili do chłopów: „głosujcie na wójta i na Korzeniaka, bo inaczej zapiszemy was do czarnej książki i będziecie nieszczęśliwi", albo: „gdybyście głosowali na innych, to zapłacicie po 15 złr. kary". Po takich i tym podobnych namowach rozpoczęło się głosowanie. Kiedy jeden z wyborców zająknął się przy nazwisku, które miał wygłosić, a inni mu podpowiedzieli, komisarz Dobrowolski sądząc, iż podpowiadającym był chłop Piórko, kazał go wyprowadzić z kancelaryi i aresztować. Żandarm go wyprowadził, uderzył dwa razy w twarz, mówiąc: „dam ja ci ptaszku!" Po ukończeniu wyborów, kiedy żandarm prowadził przez wieś Piórkę, żona jego udała się w prośby za aresztowanym. Żandarm ją odepchnął, wskutek czego powstała bitka, wśród której żandarma rozbrojono. Rozbrojony udał się do poblizkiego miasteczka Liszek i powróciwszy z trzema żandarmami rozpoczął aresztowania, kogo się dało i jak się dało. Wszystkich aresztowanych skuto, bijąc ich po twarzy, lub kolbami, targając koszule itd. Kiedy 70-cio letnia matka jednego z aresztowanych zapytała go: „synu, za coś zasłużył na łańcuchy?" żandarm uderzył ją w kark, aż się zatoczyła. Skuto między innymi niejakiego Lorka, któremu komisarz powiedział: „ja tobie dam, żeś na Bartyzela i Lipiarza głosował, teraz będę ci na karku jeździł". Córka tego Lorka, oberwała najprzód kolbą przez plecy, a kiedy pojechała za ojcem do Liszek, żandarm potargał jej koszulę i bił po twarzy. Jeden z żandarmów przy sposobności tak uderzył pięścią w kark 8-mio letniego chłopca Jana Kadulę, że ten się przewrócił i dostał wielkiej choroby.

Oto w streszczeniu obrazek „wolnych" prawyborów w Cholerzynie. Nie przeczę, iż rozprawa sądowa może wykazać odwrotną stronę medalu, ale w każdym razie pozostanie faktem, że z powodu prawyborów w Cholerzynie aresztowano, skuto i zaprowadzono do więzienia 12-tu chłopów, a między niemi jednego wybranego przez nich wyborcę, bo chłopi bądź co bądź na swojem postawili i kandydaci żandarmscy przepadli.

To co się działo w Cholerzynie mniej lub więcej dzieje się we wszystkich prawie gminach galicyjskich, chyba, że chłopi są całkiem posłuszni, lub że komisarz starostwa nie chce na tej drodze szukać odznaczenia.

W poprzednich moich korespondencyach parokrotnie zaznaczyłem, że nie należę do zwolenników wybierania włościan na posłów. Ale kiedy ustawy nadały tej warstwie prawo wyborcze, to wykonywanie go w ten sposób, jak się to dzieje w Galicyi, nie zasługuje na żadną pobłażliwość.

Jaśnie wielmożni i wielmożni panowie, opamiętajcie się póki jeszcze pora. Nie ograniczajcie się na pisaniu frazesów o miłości dla ludu, nie idźcie do tego ludu z pieniędzmi i żandarmem, kiedy nadchodzi czas wyborów, ale żyjcie z nim, podajcie rękę tym „młodszym braciom", dzielcie się z nimi sercem, nie skąpcie im rady i pomocy. Nie czyniliście tego dotąd i oto pomiędzy wami a ludem powiększa się przepaść, która dla kraju, dla narodu stać się może nieszczęściem. Ten lud, choć jest ciemny, ale z każdym dniem zdobywa sobie coraz lepsze pojęcie o swoich prawach i swojej zbiorowej potędze. Kto go poprowadzi, przy tym w przyszłości będzie zwycięztwo. Ale do miłości jego nie droga przez zajścia cholerzyńskie, przez nadużycia i przekupstwa. Mam silne przekonanie, iż to co się stało w Cholerzynie nietylko rozgoryczy lud cały, ale zaraz na miejscu wyda swoje owoce. Kandydatem komitetu centralnego z kuryi włościańskiej krakowskiej jest dr. Franciszek Paszkowski, człowiek, który całkiem na wybór zasługuje, i przed paru tygodniami wyboru tego byłem zupełnie pewny, — po zajściach cholerzyńskich, pozwalam sobie wątpić, aby dr. Paszkowski był posłem włościańskim z powiatu krakowskiego. Przekonamy się zresztą o tem za dni parę, pojutrze bowiem odbywać się będą wybory.

K. Bartoszewicz.

POLITYKA.

Rusofilizm w Czechach.

Polacy za mało znają Czechów i przeto pojęcia o nich zazwyczaj są krańcowe. Tak np. jest z hołdem, jaki składają poezyi ósmego i dziewiątego lat dziesiątka, tak z rusofilstwem, do nadto wielkich rozciągniętem rozmiarów.

Prawda! wielka rzesza pseudo-inteligencyi jest przychylną mrzonkom rusofilskim. Prawda! „Nar. Listy" w tymże pracują duchu. Ale i śród przedstawicieli „Nar. Listów" i śród inteligencyi narodni-listowskiej spotykamy wielu

---

WANDA (*nieco niecierpliwie*).

Powtórz mi pan jej słowa, nie wiem o co chodzi.

LEON (*j. w.*)

Czy to prawda, co powiedziała dwie godziny temu?

WANDA (*j. w.*)

Co, mianowicie?

LEON (*nachyla się, cicho*).

Żeś nieszczęśliwa, nieszczęśliwsza od nas wszystkich?

WANDA.

Ból nie da się zmierzyć.

LEON.

Gdym panią ujrzał... tak okropnie smutną... uczułem, że to prawda. Dotąd oczy twoje pełne są bólu!

WANDA (*spokojnie*).

To, co mnie szarpie... nie istnieje dla pana; to, co mnie rozstraja, rozstrajać według pana nie może... Moje smutki są jałowe: chimerą — cierpienia. Nie, — dla pana nie cierpię!

LEON (*gwałtownie*).

Więc pani nie chcesz uważać mnie za przyjaciela?

WANDA (*j. w.*)

Przypuszczasz pan, że to możliwe?

LEON (*wzburzony*).

To w pani mocy!...

WANDA.

Nie rozumiem.

LEON (*porywczo*).

Bo nie chcesz rozumieć! Bo wolisz deptać wrogiego robaka, niż dłoń podać człowiekowi!...

WANDA (*spokojnie*).

Nie podaję, by mi ją nie cofniono.

LEON (*gwałtownie*).

Jabym swoją... pani... cofnął?... Ależ...

WANDA (*przerywa mu umyślnie*).

Nie mówmy o tem!...

LEON (*szyderczo*).

Pani się słów obawiasz, bo treść ich jest ci wiadomą.

WANDA.

Jeżeli to pan przypuszczasz, na co słowa?...

LEON.

Bo ja nie znam odpowiedzi!

WANDA (*chłodno*).

Nie rozumiem pana krytych słów.

LEON (*szyderczo*).

A jednak wiedziałaś pani „co drga w każdem mem słowie, zwróconem do ciebie". Wiedziałaś, nim ja stałem się tego świadomy.

(*Milczenie.*)

LEON (*porywczo*).

Teraz ja pani powiem, co drga w twojej muzyce buntu i rozpaczy i dla czego tak rozstraja: to ból, tkwiący w duszy pani, jak ognista, zatruta, sycząca strzała; to ból pragnień, pragnienie miłości!...

(*Wanda patrzy na niego spokojnie.*)

LEON.

Tak, tak, wpijaj we mnie swe zagadkowe spojrzenie, na dnie ich chłodu pali się tęsknota! tęsknota za szczęściem!... Spokojna twarz twoja zakrywa wulkan pragnień, zimne obejście, gwałtowny prąd krwi gorącej. Twa blada cera bije głęboko ukrytym płomieniem, a mózg płonie widziadłami raju! I to obłuda twoja życiowa roznamiętnia twą grę, obłuda twa przyprawia o szaleństwo!...

(*Wanda patrzy na niego nieruchomym wzrokiem.*)

LEON (*gwałtownie*).

Może tak nie jest?... O kłam, kłam, udawaj, że pragnień człowieczych w tobie niema, żeś wyższa nad pragnienie szczęścia!... Że ci artyzm wystarcza!... Jak ty tworzyć możesz, jeżeli nic nie czujesz?...

WANDA (*drwiąco*).

Ba! szczęście! To zbyt dobre, by nie połykać śliny, gdy się o niem myśli!

LEON (*szyderczo*).

Więc dla czegóż pani ślinę tylko łykasz?

WANDA.

Zielone winogrona.

LEON (*porywczo*).

Ależ one dojrzałe, u stóp twych leżą!...

WANDA (*śmieje się ironicznie*).

Tak pan mówisz?... (*poważnie*) To co u nóg mych leży przestaje być dla mnie pożądanem. Muszę w górę patrzeć, by pragnąć i wspinać się po szczęście... nie schylać!...

osobników, którym idee rusofilskie bynajmniej nie przypadają do smaku. Z drugiej zaś strony — śród onych niby rusofilów — iluż to jest takich, którzy są jedynie przebranymi na wróble niemieckie strachami. Tylko, że Wiedeń zanadto już poznał je dobrze, aby z trwogi przed nimi truchlał, a właśni ich bracia czescy najwięcej na tem tracą, przyjmując często faryzeuszowskie przewodników frazesy za prawdziwe słowo, z ożywczego płynące zdroju.

Za to gmatwanie pojęć nieukształconym jeszcze politycznie współbraciom, odpowiedzą w przyszłości przed sądem bezstronnych krytyków. Ja dziś chcę wskazać, jak głęboko wpływ ten sięga, jakie warstwy rusofilskim podlegają zachciankom.

Kto pierwszy raz jest w Pradze, a kręci się po mieście i raz w tej, raz w innej, prostszej restauracyjce przepędzi wieczór, zaiste zdziwionym będzie, kiedy Czesi, usłyszawszy zbliżoną do ich języka mowę, poczną go pytać: „Vy bratr Slovan?“ — „Cieszy mnie to“ i witają się serdecznie. Tego rodzaju powitania nie spotkamy u innego szczepu słowiańskiego. Ale ta życzliwość jest przyjemną. Bo pamiętajmy, że to jest okazywanie serdeczności przez prostych ludzi — nie dla Rosyan — nie, — jeno dla wszystkich Słowian. Nie wydarzyło mi się nigdy być zaczepionym słowami: „Vy bratr Rus?“

Jednak pomimo tego ogólno-słowiańskiego uczucia są ludzie, których serce silnie bije dla Rosyi, — a bije często wprost bezmyślnie. Znać w tem nie szczere, z własnego serca płynące, własnym rozumem ukształcone przekonanie, lecz człowiek taki zda się być często wyuczoną sroką, powtarzającą bez uczestnictwa rozumu: „Trzeba się zlać z Rosyą, wcielić w nią, przyjąć prawosławie i pracować ku północnego olbrzyma dobru“*). Ale nawet ci krańcowi śpiewają hymny narodowe i w chwili rozpłomieniania mówią o Czechach wielkich, silnych, samodzielnych, gotowi borykać się za ojczyznę, język i wiarę.

Ale czy wszystkie warstwy rękoma pracujące przychylne są ideom rusofilskim?

Najpierw — niezbyt wprawdzie jeszcze potężna i niezbyt silnie zorganizowana, nie mająca nadto biegłych przewodników, partya socyalistyczna wcale a wcale nie przechyla się ku przekonaniom obozu rusofilskiego. A partya ta, oprócz robotników fabrycznych, obejmuje znaczny poczet rzemieślników, tworzących (zwłaszcza rzemiosła, z inteligentniejszych składające się jednostek np. zecerzy) silną tamę przeciw pragnieniom, dążącym ku wyrobieniu uwielbiania jakiegokolwiekbądź ucisku i wyzysku. Ze sfer rzemieślniczych do tej partyi należy najwięcej młodzieży. Z drugiej zaś strony niemała liczba poważnych rzemieślników, choć nie trzyma z socyalistami, nie lgnie również do idei rusofilskich.

Powtóre lud prosty, wieśniak, daleki jest od zrusofilizowania uczuć. Nie znajduje się w ognisku robienia polityki, nie patrzy bezpośrednio na ogromną kuźnię pragską, której znaczny kąt należy do „Nar. Listów“, wykuwających z przekonań zdawkowych takie kosy i sierpy idei, które przeznaczone ku żęciu zboża dla rodaków, tną ich nogi i ranią, przeszkadzając pracować na polu powszechnego dobra. Te idee szkodliwe nie mają więc zbyt wielkiego wpływu na lud, odcięty od Pragi i pogrążony w pracy rolnej. Zwłaszcza zaś, iż lud mniej czyta od obywatelstwa pragskiego i wogóle miejskiego.

A teraz jeszcze jedno. Jeśli mówimy o rusofilstwie w Czechach, winniśmy odróżniać od Czech właściwych Morawę i Szląsk. Nie zapominajmy, że Czesi nie są znów narodem tak silnie zjednoczonym, jak się o tem zwykle mówi. Znajdziemy wielu, którzy rzekną, iż są Morawianami a nie Czechami. Do nich nie zaszła jeszcze nietylko tendencya rusofilska, ale nawet czeska. Słowacy zaś może jeszcze mniej uważają się za Czechów. Z inteligencyi owych stron (Morawianie i Słowacy) część świadomie do czeskiej zalicza się narodowości, a inna, lubo jest czeską, niezbytnią jednak okazuje chęć nawet ku borykaniu się z żywiołem niemieckim, a cóż dopiero mówić o rozpowszechnianiu idei dalekich, nie złączonych bezpośrednio z sferą ich interesów. Nie znaczy to jednak wcale, aby Morawa nie miała rusofilów, zwłaszcza głoszących idee cyrylo-metodyjskie; ale ruch ów nie jest tak strasznym i wielkim, aby Morawę nazwać rusofilską. Jest ona mniej rusofilską niż Czechy, bo tutaj rusofilami są w części i warstwy niższe, podczas, gdy na Morawie te ostatnie mniej podpadły wpływom sztucznym. Są one mniej politycznie urobione, ale czystsze.

Któż więc rzeczywiście składa żywioł, znany pod nazwą rusofilizmu.

Naprzód w małej i to bardzo małej liczbie lud czeski, a jeszcze mniej morawski; dalej, pewien odłam i to po większej części nie najukształceńszy warstwy rzemieślniczej, nie umiejący patrzeć dalej nosa a przywykły do „Nar. Listów“ i za ciężki do krytyki. Gdym z ludźmi tymi rozmawiał, głosili, „może to nie być zupełnie prawdą, co „Nar. Listy“ piszą, ale poco nam „trhat“ nasze zasady, podawać nowe i rozpraszać się“.

Najwięcej jednak szeregi rusofilskie zapełnia inteligencya niższego rzędu np. reporterka i gryzipiórstwo, a dalej prawdziwa, częstokroć zbyt powierzchowna, do której można zaliczyć dziennikarstwo młodoczeskie i młodzież, kształcącą się w wyższych zakładach naukowych.

O „Nar. Listach“ i inteligencyi barwy narodni-listowskiej mówiłem wyżej. Co do młodzieży rusofilizm nie wszędzie jest jednej siły. Najwięcej przejawia się śród młodzieży słowackiej, ale jest niejako rozpaczliwym. Słowacy węgierscy, znoszący wiele od słowianożerczych Madziarów, a nie mając od nikogo pomocy, gotowi są oddać się Rosyi, aby ich tylko wyswobodziła z ucisku.

Z tem wszystkiem jednak pamiętajmy, że od lat kilku powstał śród młodzieży silny ruch postępowy, do czego posłużyła prasa miesięcznikowa, w której pracują najruchliwsze i najsympatyczniejsze umysły, owiane nowymi prądami, krytycznie ukształcone. Dalej coraz lepiej rozwijająca się prasa socyalistyczna wypycha z głów powoli trujące mrzonki o niestrawnym rusofilizmie.

Dla tego też dziś nie można czerpać wiadomości o Czechach wyłącznie z „Nar. Listów“, co zazwyczaj ma miejsce w naszej prasie. Dotychczas ze strony polskiej słyszymy: „Czesi! ależ to rusofile“, a z czeskiej „Polacy! to stanczykerja! to na usługach Wiednia pozostający lokaje“.

Komu miła zgoda, chęć wspólnej pracy, powinien głębiej zajrzeć w stosunki, zrozumieć, że dziś w pierwszym rzędzie trzeba się liczyć nie z garstką, dzięki szczęśliwym dla niej okolicznościom, stojącą u steru, jeno z olbrzymiemi siłami, ukrytemi w sercach i umysłach niższych warstw narodu.

Wyławiający wiadomości jedynie z „Nar. Listów“ niepotrzebnie wywyższa ich wpływ, z drugiej zaś strony obraża Czechów, mniemając, że nie mają ludzi zdolnych do odróżnienia brylantów sztucznych od prawdziwych.

Od lat kilku powstały ruch prasowy bądź socyalistyczny, a jeszcze więcej postępowo-realny („Rozhledy“, „Nasza Doba“ i „Czas“) zbyt jest silnym, by go lekceważyć. Przy jego pomocy rusofilizm w Czechach znacznie się już skurczył i coraz więcej ubywa mu gruntu pod nogami. *Zem.*

*) Chociaż znaczna część rusofilów nie posuwa swej przyjaźni aż do utraty języka lub wiary, jest tylko bezkrytyczną Rosyi wielbicielką i ku niej dąży.

LEON (*gorąco*).

A jeżeli tam w górze nigdy go nie dojrzysz?...

WANDA.

Zrezygnuję.

LEON (*z gorącą ironią*).

Na wypatrywanie nieba przez puste błękity zejdzie ci młodość i życie!

WANDA (*z spokojnym uśmiechem*).

Nie obawiaj się pan... patrzeć będę przed siebie lub na ziemię i czekać coś lepszego od szczęścia.

LEON.

Cóż lepszego!... powiedz, czem jest ten wyższy stopień dobra, bym w jego imieniu porzucił marzenia!

WANDA (*z zapałem*).

Upojenie czynu!

LEON (*gwałtownie*).

Kłamiesz pani lub czynem kłamać będziesz!... Ach, ta przeklęta obłuda dumy!... (*porywczo*) Dla czego mnie pani tak rozstrajasz?...

WANDA.

Będziesz pan mógł teraz wrócić do równowagi — wyjeżdżam.

LEON (*gwałtownie*).

Co?... wyjeżdżasz?

(*Wanda głową daje znak twierdzący.*)

LEON (*hamuje się*).

I dla czegoż?... dla czegoż?... Wszak miałaś miesiąc cały spędzić z nami!

WANDA.

Dla czego?... (*gorzko*) Bo nie mogłam się nawet tutaj schronić przed swem przeznaczeniem.

LEON.

Jakiem?...

WANDA (*j. w.*)

Stałam się ludziom, którzy mnie otaczają, trucizną.

LEON (*porywczo*).

Kogoż tutaj trujesz?

WANDA.

Ciebie i Rózię. Każde w sposób odmienny.

LEON (*j. w.*)

Wszak Rózia panią kocha i wielbi jak bóstwo, i mówi, żeś ty ją uczyniła człowiekiem!

WANDA.

Mówiłeś pan sam, że wszczepiam w nią newrozę.

LEON (*porywczo*).

I pani zważać będzie na moje słowa! A ja co chwila myślę o tobie inaczej! Co ja wreszcie znaczyć mogę dla ciebie?

WANDA.

Pan możesz nic nie znaczyć, lecz słowa twe mogą być słuszne.

LEON (*z namiętnym żalem*).

Jam je powiedział w gniewie, w buncie przeciwko tobie, nie w zimnej rozwadze!...

WANDA.

Czy wiemy, kiedy się wypowiada rzeczywista prawda naszych dusz?... Ta prawda częściej należy do naszych stanów niepoczytalnych, niż do myśli objektywnej.

LEON (*z prośbą*).

Wando!.. Ja teraz także myślę podmiotowo, a czuję, że ci bardzo dużo zawdzięczam i że mi jesteś bardzo, bardzo potrzebną!...

WANDA.

To złudzenie; daje ci je powab wymykającej się trucizny.

LEON.

Jam chory, potrzebne mi gorzkie, silne lekarstwo. Lecz tyś dobra, Wando! Czy wiesz, Kazio pisał do mnie... List pełen ciebie... mówi o tobie jak o straconem bóstwie... z uwielbieniem i rozpaczą... Zostań!

WANDA (*stanowczo*).

Nie mogę.

LEON (*wybucha*).

Tak?... rzucasz ferment w duszę i wyjeżdżasz?... Ha! Obawiasz się, by wyniki twych doświadczeń nie padły ci na głowę!... Ty potężna boisz się!!...

(*Wanda ironicznie patrzy mu w oczy.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Wobec tryumfalnych artykułów „Schlesische Volksztg.“ z powodu zwycięztwa niemieckiego kandydata p. Latacza w pszczyńsko-rybnickim okręgu tak odpowiada „Gazeta Opolska“ (Nr. 75):

Niech „Schl. Volksztg.“ nie krzyczy panu Lataczowi: „Ein donnerndes Hoch!“, jak to uczyniła, bo to dopiero w pszczyńsko-rybnickiem początek, a przecież mamy już, jak wiadomo, inne walki za sobą, w których „Schl. Volksztg.“ musiała się ze swojem: Vae victis! — biada zwyciężonym! w kąt schować, a raczej do siebie je zastósować.

Kłamstwa, fałsze i oszczerstwa, których dotykaniem my się kalać nie myślimy, szerzy „Schl. Volksztg.“ w walce z polsko-katolickiemi gazetami. Niech jednak pamięta, że śliny jej jadu nas nie zatrują ani nie odstraszą od dalszej wytrwałej walki z tymi, którzy wyzyskując korzystne dla siebie okoliczności, narzucają ludowi nieodpowiednich zastępców.

Wy się nie chwalcie waszą przyjaźnią dla Polaków i polskiego ludu, bo wiadomo nam, jak długo ze strony centrum nie było wolno o polskich sprawach na Szląsku się odzywać i kto to milczenie przerwał.

Wy się nie chwalcie, bo nigdzie takich anormalnych stosunków nie ma, jak na Szląsku, żeby lud posłów obcej narodowości wybierał i jeszcze z łaski tylko chyba mógł się spodziewać, że mu tedy i owedy oczy zamydlicie faryzeuszowskim słówkiem o obronie „języka ojczystego“, nie mówiąc już o czysto polskiem pochodzeniu i narodowości polskiej ludu szląskiego, bo tej wy wcale uznać ani o niej mówić nie chcecie!

Wy się nie chwalcie, bo kontrakt wasz z nami zerwaliście, a i godzina dla was obrachunku z ludem polskim prędzej czy później wybije!“

—

Tej samej sprawie poświęcają „Nowiny Raciborskie“ (Nr. 113) uwagi następujące:

„Schlesische Volksztg.“ pomawia o to „Nowiny Raciborskie“, „Gazetę Opolską“ i „Katolika“, że na agitacye wyborcze pobierają pieniądze z Poznania. Jak „Katolik“, tak i „Nowiny Raciborskie“ zaznaczają wyraźnie, że o jakiejś kasie wojennej nic a nic nie wiedzą i że im znikąd pieniędzy na agitacye nie przysyłano. „Schlesische Volkszeitung“ nie może widocznie pojąć, aby lud polski sam z siebie mógł się obudzić z uśpienia pod względem narodowym, i dla tego każdy ruch żywszy na Szląsku przypisuje agitacyom wielkopolskim. Bez pieniędzy z Poznania nadchodzących nie byłoby jej zdaniem żadnego ruchu narodowościowego na Szląsku. Jak podłym jest podobny niczem nie udowodniony zarzut, charakteryzujący bardzo wybitnie podstępny sposób wojowania tego organu centrowego, powiedzieć trudno. „Katolik“ oburzony do żywego, wzywa przeto słusznie, aby „Schl. Volksztg.“ okazała odwagę i powtórzyła zarzut jasno i wyraźnie z podaniem szczegółów, aby go redakcya „Katolika“ mogła zaskarżyć. Jeżeli tego nie uczyni, to pokaże, że ma strach przed skargą; będzie to znakiem, iż oczywistą nieprawdę głosiła, a w takim razie powinna z uczciwości i poczucia katolickiego odwołać publicznie zarzut haniebny.

Na wezwanie „Katolika“ godzimy się i my najzupełniej, bo zarzut wzmiankowany, jakoby gazety polskie na Szląsku były tylko na żołdzie jakichś agitatorów poznańskich i nas oburzył“.

—

Z Łęgu donoszą „Gazecie Toruńskiej“ (nr. 221) o zdarzeniu ilustrującem jaskrawo postępowanie Niemców w tak zwanych „Kriegervereine“, do których, mianowicie po małych miastach, garnie się wielu Polaków. Korespondent „Gazety Toruńskiej“ pisze:

„Podczas ostatniej zabawy, którą to „krigerverajniści“ w lesie urządzili w rocznicę krigerverajnu, odbyło się także poświęcenie nowej chorągwi. Na miejscu zabawy obeszli się „verajnisty“ z jednym znacznym polskim panem bardzo niegrzecznie. Ów pan jest „honorowy“ człowiek, początkowo był on także pomocnikiem przy założeniu „kriegerverajnu“, podejmował on także nieraz wiele pracy i trudu, aby najbardziej „verajn“ uszlachetnić, za co też dostał pochwałę. Ale nie długo się cieszył łaską najserdeczniejszych, bo gdy podczas ostatniej zabawy „kriegerverajnu“ w lesie zdarzyło się owemu panu mówić do swego druba kilka słów po polsku, jeden z panów niemieckich nakazał mu, aby z swą polską mową był cicho i nie przeszkadzał. Lecz ów polski pan nie troszczył się o zakaz, tylko gawędził sobie dalej. Rozgniewało to owego Niemca „verajnistę“, że go nie słuchano; powiedział o tem prezesowi „verajnu“, mówiąc, że jeden pan jest na przeszkodzie, „kwatscht immer polnisch und will nicht ruhig sein“. Prezes, nie namyślając się długo, kazał przez żandarma owego pana z miejsca zabawy aż na szosę wyprowadzić, i musiał się ów pan ze wstydem do domu zabierać. Tak to najserdeczniejsi z Polakami się obchodzą, których początkowo dobremi słówkami wabili, aby się do „kriegerverajnu“ wpisali, a teraz za to im urągają.“

—

O potrzebie zakładania polskich towarzystw politycznych takie wypowiada uwagi jeden z korespondentów „Orędownika“ w nr. 217:

„Wśród innych narodów, cieszących się konstytucyą, roi się od stowarzyszeń politycznych, a u nas są ludzie (niby to światli), którym się wydaje, że są one niedozwolone. Pochodzi to też z tej przyczyny, że nie jest nam jasnem, co jest polityka i stowarzyszenia polityczne. Iluż to z naszych sądzi, że w towarzystwach politycznych odbywają się narady nad odbudowaniem Polski? Brak nam oświaty politycznej, toż się prawie dziwić nie można takim poglądom i znowu z drugiej strony nic to dziwnego, że pole stowarzyszeń politycznych leży odłogiem.

Po roku 1848 istniały z inicyatywy hr. Cieszkowskiego ligi polskie, ale te ze względu na prawo o stowarzyszeniach rozwiązane być musiały, bo tworzyły związek. Odtąd u nas przykładny panuje spokój i do snu miłego nas kołysze; cóżby na to powiedziała lojalność pruska, która nam w ślepą babkę bawić się każe i wierzyć pierwszemu lepszemu politykowi z ramienia Kościelskich etc. na słowo, gdyby stowarzyszenia polityczne przeszkodziły pójść na herbatkę berlińską?

Towarzystwa polityczne mogłyby niepoślednią oddać usługę społeczeństwu naszemu, gdyby nie było obawy, że do przesady dojdziemy, bo u nas miary znaleść nie możemy. „Kiedy jechać, to już sanną; — kiedy hulać, to już z panną“, a kiedy się bawić w politykę, to już suto, jak to bywa przy kieliszku.

Jesteśmy przygnieceni, rozdarci na troje, nie mamy bytu politycznego, więc nie dziw, że ci, co jeszcze Polskę wolną pamiętali, zapomnieć tego nie mogli i polityczne swe poglądy na walce orężnej opierali. Dziś nowe pokolenia w innej wychowane szkole, rozstały się z myślą takiej walki, toć pozostała nam walka bezkrwawa, groźniejsza w skutkach. Należymy do państwa pruskiego, czemuż nie mamy korzystać z jego konstytucyi i praw, jego obywatelom przysługujących?

Do tych ostatnich należą stowarzyszenia polityczne; ale prowodyrowie nasi strzegą nas przed niemi, — niby Cerber groźny, aby nie wypuścić na świat śmielszej idei i trzymać ludzi w ciemnocie. Mało słyszeliśmy o towarzystwach politycznych u nas, a nawet — jak to już zaznaczyliśmy — nie ma towarzystwa wyborczego, jest tylko aparat wyborczy, który milczeć ludowi każe, aby nie rozrywać solidarności. Kto nie kiwa bezmyślnie głową, — to socyalista, anarchista i t. d.“

—

Organ duchowieństwa naszego straszy konsekwentnie przed zaczęciem nowego kwartału czytelników swoich grasującą rzekomo po kraju „masoneryą“ polską i zaleca jako jedyne le-

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

(Ciąg dalszy.)

Własow nie był przygotowany na tę nagłą niespodziankę i nie znalazł na razie lepszego wykrętu. Zarumienił się i postawił dosyć niezręcznie szklankę z gruszecznikiem na stole.

Książę zapoznał Własowa z studentami, którzy mu byli nieznani. Wszyscy go namawiali do wycieczki.

— Niech farsa zmieni się w rzeczywistość — na pewno będzie jakie błazeństwo — przejażdżka niewątpliwie przyjemniejsza; pogoda przepyszna.

— Wrócicie jeszcze do domu na czas — mówi drugi — jeszcze jest rychło.

— Pojedzie z nami, pojedzie, — woła inny — to dobry chłopiec, nie zepsuje nam towarzystwa!

Wesołość kolegów, ich prośby uprzejme, własna ochota przejechać się trójką, wszystko razem ogłuszyło Własowa.

Jakżeż on mógłby odmówić? Niepodobna. Zepsułby humor całemu towarzystwu, byłby złym kolegą i druhem. Na razie nie dostrzegł nic zdrożnego w przejażdżce; przystał.

— Dziękuję wam za to — mówi książę — tak lubię. A teraz, moi panowie, przed odjazdem wypijemy kieliszeczek na rozgrzanie.

— Dobrze! Dobrze! — woła jeden z studentów — pyszna myśl! Potem jednak w drogę, bo czas. Skupili się koło bufetu. Iwański tylko pozostał przy stole drzemiąc.

— W ręce — mówi książę, chwytając kieliszek, a drugi Własowowi podsuwając — na cześć naszej nauki, medycyny!

Własow chciał odpowiedzieć, że nie pije, że już dosyć wypił, że ślicznie dziękuje, lecz zamiast tego głupkowato się uśmiechnął i wziął kieliszek.

Wszyscy pili. Własow chwilę się wahał; nie chciał być jednak gorszym jak drudzy i jednym haustem wychylił kieliszek za przykładem księcia.

— Czyż ja to mały chłopiec — pomyślał, podniecając się, czyżbym nawet kieliszka wódki nie miał znieść?

Tym razem nie zachłysnął się, jak przy obiedzie, przy kieliszku likieru; pojął, że należy zaraz po wypiciu zamknąć usta i przez chwilę nie mówić nic. Nie przegryzł już nawet chlebem.

— Wasz przyjaciel Iwański — mówi książę, wskazując na niego i pojadając kanapkę — do niczego! Dawno też już nie hulał.

Zdaje się, że Iwański całkiem usnął, bo chylił się na wszystkie strony, wreszcie ociężale upadł na ziemię. Studenci roześmiali się. Własowa dotknęło to niemile. Na chwilę ścisnęło mu się serce, lecz wkrótce zaczął się uśmiechać a wreszcie śmiał się razem z drugimi. Iwański podniósł się, błędnie patrząc wokoło siebie, uśmiechając się z przymusu.

— Zdrzymnąłem się — mówi ospale i ociera kurz z ubrania — jedźmy!

— Pojedziemy — mówi książę wesoło — jeszcze kieliszeczek na drogę a potem jazda! Moi panowie! Kto z was nie mówi sobie „ty“ z Własowem niech się z nim na braterstwo napije. Przystajecie? — zapytuje się, zwracając do Własowa.

— Czemuż nie?

Iwański przypatrywał się w milczeniu, jak książę z Własowem skrzyżował ręce i pił na braterstwo, a potem zaczął powoli zapinać surdut. Starał się przybrać minę poważną, z wyrazu jego twarzy można było także wywnioskować, iż starał się nadać sobie pozory trzeźwości.

Po ceremonii braterstwa odstąpili studenci od bufetu. Iwański, który podczas całej tej sceny ciągle zajęty był zapinaniem górnego guzika swego munduru, wrócił nagle na dawniejsze miejsce.

— A to co? — pyta książę, podchodząc do Iwańskiego — no, dalejże, wstań!

— Wstać? — powtarza Iwański, ospale mrugając oczyma.

karstwo na tę chorobę abonowanie „Kuryera Poznańskiego“. Nowy kwartał zbliża się obecnie, — „Kuryer“ zatem chwyta się ulubionej taktyki i grzmi na „Młodą Polskę“, zaklinając czytelników swoich, aby ratowali dusze swoje przed zarazą składaniem marek do Kuryerowej skarbnicy. W sprawie tej zabiera głos „Goniec Wielkop.“ i taką daje odprawę organowi duchowieństwa:

„Nowych abonentów pragnie mieć „Kuryer Poznański“; nie chodzi mu, jak pisze, o większe zyski, lecz jedynie o zwycięztwo dobrej idei, w imię której walczy i o możność udoskonalenia pisma.

Aby więc przeprowadzić zwycięztwo swojej idei (?) i módz „Kuryera“ udoskonalić, prosi redakcya „Kuryera Pozn.“ swych czytelników, a mianowicie duchownych, „aby starali się siłami wszystkiemi o pozyskanie nowych abonentów“. — Tak dalece wszystko w porządku — jest to zwykłe zaproszenie do przedpłaty z tą różnicą, że na samym wstępie zacytowała redakcya ustęp z encykliki.

Ale dla pozyskania nowych abonentów nie wystarcza „Kuryerowi“ zapewnić o tem, iż chce zwalczyć „złą prasę“‘ urządziła więc redakcya w zaproszeniu do przedpłaty (sic!) napad na tak zw. „Młodą Polskę“, t. j. „formujący się zastęp młodych przeważnie ludzi“, który, jak to „Kuryer“ w przededniu nowego abonamentu pragnie czytelnikom swym oznajmić, „na sztandarze swym zaczyna coraz wyraźniej wywieszać hasło: walka przeciw duchowieństwu“.

Aby nie tracić słów wiele, gdyż mamy mocne przekonanie, że napad na Młodą Polskę tej ostatniej nie wyrządzi nic złego a „Kuryerowi“ ani jednego nie przysporzy abonenta, — ograniczamy się na zaznaczeniu tego nowego sposobu kaptowania abonentów — sposobu, jaki nie przystoi żadnemu pismu katolickiemu, ale już najmniej takiemu, które chce być organem duchowieństwa.

Piękną być może zaiste walka o idee, lecz niepiękny podobny bigos o przejrzystej tendencyi, złożony: z trucizny, udoskonalenia pisma, Młodej Polski, szumnych apostrof do katolickiej Wielkopolski, warszawskich korespondencyi, powiastek historycznych, obiecanek, cacanek i t. d. i t. d.

Jest wszystko — z wyjątkiem jednego choćby wyrazu, zaznaczającego, że to zaproszenie do przedpłaty ułożone przez redakcyę pisma polskiego — aż dziwno, że się tam Młoda Polska dostała.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Slovenski Narod“, wychodzący w Lublanie, pisze o słowińskiem gimnazyum w Cyleji i o stosunkach narodowościowych w południowej Styryi:

„Kiedy walczyliśmy o gimnazyum cylejskie, Niemcy mówili, że nam tego gimnazyum nie potrzeba, że chcemy korzyści politycznych. Wykazaliśmy już dawniej, że Niemcy owego gimnazyum się boją, bo w Cyleji są słabymi. Wpisy do niemieckiego gimnazyum naznaczono w niedzielę, ażeby w dzień ten zwabić włościan, do słowińskiego gimnazyum natomiast wpisywano w poniedziałek, ażeby włościanie jeden dzień zmudzili. Ale wszystko to na nic się nie zdało.

„Jasno się pokazało, że gimnazyum utrakwistyczne jest w Cyleji potrzebne. W bieżącym roku liczba uczni do niemieckiego gimnazyum zapisanych jest znacznie mniejszą, aniżeli za lat dawniejszych, z każdym zaś rokiem zmniejszać się będzie tak, że niższe klasy stać będą pustkami. Obecnie przyjęto do klasy pierwszej gimnazyum słowińskiego 160 uczni, do niemieckiego 20, z tej liczby musiano dla sześciu uczni ustanowić osobny kurs przygotowawczy, ażeby ich w języku niemieckim dostatecznie przygotować.

„Dziś widzą więc wszyscy Niemcy austryaccy, że kłamstwem wierutnem było twierdzenie, jakoby gimnazyum słowińskie było w Cyleji zbytecznem. Wszystka niemczyzna cylejska wraz z okolicą zdobyła się na 20 uczni. Nie ma wątpliwości, że liczba ta bez agitacyi byłaby jeszcze mniejszą. Gdyby urzędników niemieckich z Cyleji wydalono i zastąpiono ich słowińskimi, okazałoby się, że gimnazyum niemieckie jest całkiem zbytecznem. Nie wyobrażaliśmy sobie nigdy, że Niemcy w Cyleji są wielką potęgą, atoli nie sądziliśmy, żeby ich tak było mało, jak to dziś się okazało.

„Nie potrwa długo a większość niemiecka w reprezentacyi cylejskiej zostanie pokonaną przez Słowińców. Niemcy twierdzą, że po założeniu gimnazyów miasta się zesłowiańszczyły; tak miało być w Czechach. Nastąpi to zatem i w Cyleji. Zwracamy uwagę naszego rządu, aby z faktu, który zaszedł w Cyleji wyprowadził słuszny wniosek o prawdomowności Niemców. Niemcy tracą daremnie pieniądze i przeszkadzają postępowi oświaty, chcąc utrzymać sztucznie charakter niemiecki w krajach słowiańskich“.

* * *

Serbska „Zastava“ pisze z powodu zbliżenia się rządu serbskiego do Risticza:

„Jowana Risticza uważa się za człowieka przyszłości w Serbii. Ile to już razy radykali grzebali go żywcem a postępowcy kopali mu grób, twierdząc że jako figura polityczna skończył swoją rolę. Owoż umarły zmartwychwstał i cała Serbia zwraca na niego oczy.

„Po zamachu stanu w r. 1893 żył Ristic zdala od świata. Pokazał się pierwszy raz od tej doby w katedralnej cerkwi przy sposobności nabożeństwa odbywającego się z powodu ocalenia życia króla przy znanym wypadku w kąpielach.

„W Serbii uważa się to powszechnie za znak, że pomiędzy królem a Risticzem nastąpiło porozumienie, że zapomniał o niespodziance, którą mu sprawił król, ogłaszając się pełnoletnim i rozporządzając uwięzienie Risticza.

„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że wszystko, co wówczas było, było dziełem Milana, z którym się Ristic nigdy nie mógł zgodzić. Dziś zmiana nastąpiła z powodu oziębienia się stosunków króla Alexandra z ojcem, do którego jedynie Ristic czuł urazę.

„Mówią obecnie, że król chce słuchać wskazówek wydziału, do którego mają należeć najwybitniejsi członkowie trzech głównych stronnictw, oraz że najgłówniejszem zadaniem rządu na teraz będzie rewizya konstytucyi.

„Niektórzy sądzą, że utworzone zostanie ministerstwo koalicyjne, na czele którego stanie Ristic. Radykali których współudziału nie można było zrazu pozyskać, dziś są do tego ustępstwa gotowi“.

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Przy poświęceniu domu szkolnego.

(Przekład z Ibsena.)

Nagie już pola. pożółkła miedza
I w lasach poblakły liście:
Czas nam więc ogród, gdzie wzrośnie wiedza,
Poświęcić dziś uroczyście.
Na mocnej, skalnej stanął podstawie,
Murami sięga wysoko, —
Boże, błogosław nam w dobrej sprawie,
Niech czuwa nad nią twe oko!
Górale! — w każdej widzimy wiośnie,
Jak się zielenią urwiska,
Jak mocna sosna na skałach rośnie,
Szczytem ku niebu wytryska,
I jak na twardej glebie kamiennej
Niwa się kłosem pokrywa: —
Tak w umysł ciemny nauki cennej
Ziarno niech z murów tych spływa.

Studenci, którzy zatrzymali się przy drzwiach, rozśmiali się głośno.

— Pojedziemy sami — mówi książę — przecież już zupełnie przyszedłeś do siebie, a ty...

— Do siebie? Do ciebie? Ale?

Iwański uśmiechnął się znowu cały bezradny i wymuszony. Potem starał się powstać. Stękając, wstał.

Goście restauracyjni i garson patrzeli na niego z politowaniem.

— Nie zapominaj, braciszku — odzywa się, wygrażając księciu palcem — nie zapominaj, braciszku, że nie ma politycznej alchemii, za pomocą której możnaby z instynktów ołowianej natury wytworzyć złote postępowanie — rozumiesz? złote „postępowanie“!

Mówił to wszystko z wielkiem przejęciem.

— Co? Co on gada? — pytają się koledzy wśród śmiechu.

Iwański spojrzał na nich z pogardą i powtórzył frazes: „Nie ma i t. d.

— To wyjątek z Spencera — mówi Własow zmieszany — studyował go w ostatnim czasie i nauczył się na pamięć kilka ustępów.

— Oto mądry chłopiec! — mówi Iwański — Piotruś wie dużo, a wy co? Rozumiecie wy co? Głupcami jesteście, urwiszami! Rozumiecie? Urwiszami jesteście i basta.

Twarz Iwańskiego przybrała wyraz gniewu. Opuścił głowę, zmarszczył brwi, zacisnął pięści, jakby miał ochotę wygrzmocić kogo.

Proszę cię, nie strasz nas — mówi książę żartem, lecz z lekkim odcieniem napomnienia — wstrzymujesz nas tylko niepotrzebnie.

Iwański chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zabełkotał tylko niewyraźnie, podniósł głowę, a twarz jego przybrała znowu dawny wyraz dobroduszności i melancholijnego przesytu.

— Jedźmy — mówi krótko — pal was wszyscy dyabli!

Studenci opuścili teatr. Przed bramą, pilnowaną przez kilku stójkowych, zajechały dwie trójki. Towarzystwo podzieliło się na dwie części i gwarno rozsiadło się w saniach. Książę z najlepszymi swymi przyjaciołmi i z Własowem wsiadł do jednych sanek, drugie zajął Iwański z resztą.

Weseli woźnice, w wysokich okrągłych czapkach, w granatowych surdutach, czerwonemi pasami przepasani, ruszyli z miejsca, dzwonki zabrzęczały. Sanki mknęły wnet po szerokich ulicach. Mróz był, lecz bez wiatru, niebo szarawe, mróz wzrastał.

Książę, stojąc w sankach, zaintonował: *„Gaudeamus igitur...“*

Wszyscy wtórowali; Własow także, chociaż niezbyt dobrze pamiętał słowa piosenki.

Było mu wesoło na duszy. Chciał krzyczeć, ruszać się, a przedewszystkiem pędzić w świat dzielną trójką.

Podniósł się także w sankach i śpiewał, nie wiedząc sam co. Spoglądał rozjaśnionem okiem raz w twarz księciu, to znów na tłuste konie, które ochoczo biegły i kopytami bryły śniegu w twarz rzucały woźnicom.

Iwański śpiewał głębokim basem za nimi:

Vivant omnes virgines
Faciles, formosae!

— A ja nie zapłaciłem za wódkę — przypomniał sobie naraz Własow, Bóg wie, dla czego teraz właśnie — muszę mu oddać.

— Ile jestem dłużny? — zapytał księcia.

Płaciliście wszystko przy bufecie.

W tej chwili poczuł żal, że się tak niestosownie odezwał.

— Co? — zapytał książę prawie ostro — najpierw mówisz mi „wy“ a potem pamiętaj, pomiędzy kolegami nie ma rachunków. braciszku. Spamiętaj sobie na przyszłość. Dzisiaj zresztą wszystko płacę.

Własow jeszcze więcej się zmieszał.

— Ależ czemu? — odzywa się niepewny — przecież nie możesz wszystkiego płacić.

— Zabawny z ciebie chłop — odpowiada książę z uśmiechem odkrywając piękne białe zęby. Pomimo tego jesteś kochany chłopak. Mówiąc to, położył rękę dobrotliwie na ramię Własowa.

„Pereat tristitia, pereant dolores...“ śpiewał książę dalej.

Potrzeba jednak ciepła powiewu,
Słońca, powietrza nie mało,
Aby to ziarno ducha posiewu
Plon bujny z czasem wydało.
Dajcie więc dostęp powiewom wolnym,
Światło niech w mury przeniknie:
Tylko w wolności duch wzrość jest zdolnym
I tylko w świetle mrok zniknie.
Niech się więc święci ta ducha gleba,
Ten ogród, gdzie myśl wyrasta!
Zasiane ziarno nauki-chleba
Dziki niech chwast nie porasta.
Od życia jednak i od natury
Któż dzieli wiedzy skarbnicę?
Ochronę tylko niech dają mury,
Ale nie ciasną granicę!

J. Czar.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

(Notatki).

II.

(Skrócenie dnia roboczego).

Od czasu, kiedy Pitagoras, dowiódłszy swego o trójkątach twierdzenia, zarżnął sto wołów bogom w ofierze, od czasu tego, jak wiadomo, przy odkryciu każdej nowej prawdy woły na całym świecie ryk podnoszą. Temu rykowi wołów towarzyszy wycie wilków, jeżeli nowa myśl staje się przeszkodą do łupu. Ryk i wycie, od których bębenki w uszach pękały, powstał w Anglii, kiedy dzielny i nieustraszony inspektor fabryczny Leonard Horner agitował za prawodawstwem fabrycznem, dowodząc, że praca fabryczna dzieci i kobiet, jak również praca nadmierna w niehygienicznych warunkach, podkopuje byt klasy wyrobniczej. Uczony ekonomista pan Senior dowodził wówczas jak na dłoni, że zysk fabrykanta powstaje w ostatniej dopiero, dwunastej godzinie, więc zakaz zatrudniania kobiet więcej jak przez 11 godzin, pociągający za sobą konieczność ograniczenia w tych fabrykach, gdzie pracują mężczyźni i kobiety razem, pracy wogóle do jedenastu godzin, niszczy zysk fabrykantów; a przedsiębiorcy oświadczyli zgodnie, że zakaz taki zniszczy przemysł Anglii, strąci to państwo w przepaść, patryotyzm ich więc nie pozwala na takie burzenie zasad wolności. Jednakże „ostatnia godzina“ p. Senior okazała się błędem, a co sądzić o patryotyzmie kapitału wiedziano już w Anglii, od kiedy podczas wojen napoleońskich kapitaliści oświadczyli, że jeżeli mają płacić tak wysokie podatki na obronę kraju, to nie ma właściwie czego bronić. Projekty Hornera zostały urzeczywistnione, przemysł angielski nie upadł, ale rozwinął się, powoli ucichły ryk i wycie. Kiedy zaczęto mówić o ograniczeniu czasu pracy wogóle, dla całej ludności fabrycznej, powtórzyło się to samo: dziś mamy w niektórych krajach „normalny dzień roboczy“ i świat się nie zawalił. Przedstawiciele klasy robotniczej zaczęli agitować za ośmiogodzinnym dniem roboczym, i dotąd „uczone woły“ i „drapieżne wilki“ ryczą i wyją. Jednakże są już dziś profesorowie, którzy bez uprzedzeń przystąpiwszy do badania, ujrzeli, ze ośmiogodzinny dzień roboczy nie jest jednakże wymysłem próżnym „demagogów“, ba, znaleźli się nawet tacy fabrykanci, ktorzy nie zawahali się zrobić próbę i wyszli dobrze na tem. Przed rokiem n. p. profesor Philipowich ogłosił spostrzenia zrobione w pewnej fabryce koronek. Dyrektor tej fabryki, chcąc zapobiedz nadprodukcyi, skrócił dzień do 8 godzin; pokazało się po kilkotygodniowej próbie, że ilość produktu nie zmniejszyła się, a jakość polepszyła. Zaprowadził więc stale dzień ośmiogodzinny i rezultat był wcale pomyślny. Podobny rezultat otrzymano wkrótce w jednej z większych walcowni w Austryi. Praca w walcowni, jak wiadomo, nie może uledz przerwie. W danym więc zakładzie pracowały dwie zmiany robotników po 12 godzin, żeby jednakże przerw nie było zupełnie, nocna zmiana przychodziła na pół godziny od $8^1|_2$—9 i od 12—1, dzienna wypełniała jednę lukę w pracy nocnej. Bardzo więc naturalnie, że robotnicy wiecznie niewyspani przychodzili do fabryki, praca była mało intensywną, wypadki z ludźmi powtarzały się często, robotę psuto bezustanie. Dyrekcya zaprowadziła tedy trzy zmiany, pracujące po godzin ośm. W tym celu musiano wprawdzie więcej przyjąć robotników, proces fabrykacyi zmusił też do zakupu kilku maszyn i niektórych zmian technicznych. Ale rezultat był ten, że produkcya wzrosła znacznie, wyrób był dokładniejszy i, jak zaznacza dyrektor zakładu, wpływ na robotników był znakomity, przedewszystkiem ustało świętowanie w poniedziałki i ludzie zawsze trzeźwi przybywali do pracy. Nastąpiły więc wszystkie te skutki, których teoretycy się spodziewali.

W ostatnich miesiącach mamy do zanotowania podobny fakt. Pan Stugliński, dyrektor papierni księcia Paszkiewicza w Dobroduszu, w gubernii Mohilewskiej, przedsięwziął taki eksperyment i po całorocznem doświadczeniu ogłosił rezultaty w broszurze. Czasopismo „Sociale Praxis“ podało streszczenie broszury, z której czerpiemy następujące notatki. Przed reformą we wspomnianej fabryce pracowały dwie zmiany po 12 godzin, przyczem każda pracowała jeden tydzień we dnie, drugi w nocy. Większa część robotników odpoczynku niedzielnego nie zaznała wcale. Przytem w końcu tygodnia przy zmianie „szychty“ robotnicy pracowali bez przerwy 18 godzin. Naturalnie, że taki robotnik nie odznaczał się ani zdrowiem, ani zapasem sił, ani energią i pilnością, musiano więc opłacać cały legion majstrów i dozórców. Stosunki takie okazały się niemożliwe, fabryka wprowadziła 8 godzinny dzień, urządziła trzy zmiany. Udało się zredukować cokolwiek liczbę robotników w każdym oddziale. Zarobki zmniejszono tylko o 50 kopiejek miesięcznie; liczbę dozórców zmniejszono; koszta więc fabryki na najem wzrosły tylko o 1 proc; praca w niedzielę trwa bez przerwy i każda zmiana pracuje przy końcu tygodnia 12 godzin; co trzeci tydzień więc jedna zmiana ma wolną niedzielę. Wpływ na robotników, jak zaznacza p. Stugliński, był bardzo dodatni: stali się pracowitsi, zdrowsi, a wolnego czasu używają na polepszenie swego gospodarstwa domowego (przy fabryce istnieją domki z ogródkami dla robotników).

Tak więc mnożą się przykłady udanych eksperymentów. O nieudanych dotąd nie dowiedzieliśmy się nic. Powie nam kto, że to są pojedyńcze przykłady, które o rzeczy nie rozstrzygają, bo inaczej wiele fabrykantów poszłoby za tym przykładem. Otóż przykłady te moglibyśmy znacznie pomnożyć. Ograniczamy się jednakże do zaznaczenia, że w Australii prawie ogólnym staje się dzień 8-mio godzinny; w Anglii minister wprowadził go dla robotników zatrudnionych w arsenałach. Za jego przykładem poszedł minister marynarki, rozporządziwszy, aby robotnicy przy budowie okrętów na werftach rządowych pracowali 8 godzin. We Włoszech od kwietnia roku bieżącego we wszystkich warsztatach, zostających pod rozkazami ministerium wojny, praca jest 8-mio godzinną; w Londynie i w Manchester robotnicy zatrudnieni przez miasto pracują 8 godzin.

Przytem prawie wszędzie, gdzie przystąpiono do redukcyi godzin pracy, rezultaty były pomyślne. Oto n. p. leży przed nami sprawozdanie inspektorów fabrycznych austryackich. Inspektor XIII okręgu (Brno) twierdzi, że w dwóch fabrykach tkalni jedwabiu i w jednej fabryce tkanin wełnianych zredukowano pracę z 11 na 10 godzin i kierownicy tych fabryk oświadczyli, że „wytwarza się lepiej i więcej niż dawniej“. Ten sam rezultat osiągnięto przy budowie okrętów na werfcie Kornenburg, gdzie zamiast 10 pracuje się 9 godzin. I przytem, jak pisze tamtejszy inspektor, zauważono, że w godzinach przedpołudniowych praca idzie raźniej i lepiej niż w popołudniowych. Dodaje ten urzędnik: „jest zresztą rzeczą zupełnie naturalną, że wydajność pracy robotnika musi być

Własow spojrzał na księcia i znowu zrobiło mu się błogo na duszy.

— Istotnie, na cóż tu rozliczania? — pomyślał — na przyszły raz zapłacę za niego, mam jeszcze trzy ruble.

Zaczął znowu śpiewać.

— Patrz, jak akademicy hulają, jest na co spojrzeć — mówi opasły woźnica, stojąc przy rogu ulicy do sąsiada. — Co oni potem będą wyprawiali. Prr... — nawołuje swego młodego rumaka, który się wybierał za trójkami — prr! stój!

V.

Była trzecia z rana, gdy gospodyni wesołego domu przy ulicy S., pani Marya, zabierała się do herbaty. Skończyła właśnie przegląd ganków na tyły wychodzących, z pokoikami zamkniętemi i sali rzęsiście oświetlonej, przepełnionej gośćmi. Zadowolona weszła do swego małego buduarku, na lewo od saloniku recepcyjnego. Na stole kipiał samowar, słój z konserwami, paszteciki na niebieskim talerzu czekały na nią. Przy oknie wisiały klatki z kanarkami. W kącie przed pięknemi obrazami świętych paliła się lampka.

— Nie mogę, rzeczywiście nie mogę, — mówi pani Marya, zwracając się do drobnego bladego człowieczyny, który w interesie do niej przybył. — Sam pan widzisz, jak dzisiaj wszystko zajęte; tłum studentów, wszystkie pokoje zajęte.

— To kara boża dla mnie, — odpowiada drobny człeczyna i stawia filiżankę z herbatą na stół, kręcąc się na krześle. — Cóż ja teraz pocznę.

— Co pan chcesz — mówi pani Marya — wiesz przecież gołąbeńku: gdzie nic nie ma, tam nawet dyabeł prawo traci. Wszystkie dziewczęta zatrudnione, nie mogę ostatnich zabierać z salonu... Przekonałeś się pan sam.

— A co za szczęście! Chłopcy młode, podchmielone i mają grosze. Pan jesteś piąta z rzędu, do której się udaję, co robić? Losy widocznie nie chcą. Byłbym panią rychlej odwiedził, lecz nie wiedziałem, że studenci są twoimi stałymi gośmi...

Mały człowieczek zamyślił się. Twarz jego była przemęczona, nieszczęśliwa, chorowita. Bezkrwistą wychudłą ręką gładził czerwonawą bródkę. Przy tłustej, pełnej zadowolenia gospodyni wydawał się jeszcze bardziej mizernym. Spojrzała na niego i mówi współczując:

— Gołąbeńku, nie smuć się tak, doprawdy nie warto. Pozwolisz jeszcze filiżaneczkę; właśnie byłam zajrzeć; jakieś towarzystwo od dawna już jest tutaj, lecz jeszcze są w pokoikach, Gołąbeńku, poczekaj jeszcze kilka minut, zobaczymy.

Pani Marya miała zwyczaj nazywać wszystkich „gołąbeńku“. Umiała słówko to wymawiać z nadzwyczajną czułością.

Mały człowieczek postanowił czekać i popijał drugą filiżankę herbaty. Ożywił się i opowiadał, jak przez jednę noc zarobił 3000 rubli prowizyi.

— A jednak licho się nam powodzi, życie nasze ciężkie — kończył z skargą w głosie. — Pani inaczej zupełnie żyjesz, przechadzasz się po domu, pijesz herbatę i robisz olbrzymie interesa, jak widzę.

Rzeczywiście, instytut pani Maryi robił tej nocy znakomite interesa.

Tymczasem drzwi się otworzyły i jedna z dziewcząt wpadła do pokoiku. Kark i ramiona były obnażone. Twarz jej pokryta była grubą warstwą blanżu. Zielona jedwabna suknia źle leżała.

— Studenci odchodzą — mówi szybko — zaraz odjeżdżają. Tak kazali pani powiedzieć.

— Dziękuję ci, gołąbeńku, — odpowiada pani Marya.

— Proszę...

„Dziewczyna“ znika.

— Widzisz pan, mówi pani Marya, do gościa — doczekałeś się pan, może zrobimy interes.

Wstała i wyszła lekkim pospiesznym krokiem z pokoju; idąc, zapaliła papierosa.

Mały człowieczek szedł za nią. Ożywił się cały a oczy jego strzelały niespokojnie na wszystkie strony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

większą, jeżeli przychodzi do pracy dobrze wypoczęty, fizycznie i duchowo świeży“.

Rzeczywiście jest to zupełnie naturalne. Pomimo to są i dziś jeszcze ludzie, co „zdrowym rozsądkiem“ dochodzą do takich rezultatów mniej więcej: praca fabryczna jest maszynową, a zatem pracą lekką, robotnik dozoruje tylko maszyny; nie od robotnika zależy wydajność, ale od maszyny; ergo — im dłużej robotnik wprawia maszynę w ruch, a do tego nie potrzeba ani sił ani inteligencyi, tem więcej maszyna wyrobi towaru. Otóż takie rozumowanie jest absolutnie fałszywe. Praca maszynowa jest pracą bardzo ciężką, szczególnie dziś. Dawniej n. p. szpulka selfaktora robiła 6000—8000 obrotów na minutę, dziś robi 10,000 do 12,000. Praca robotnika polega na nakładaniu szpulek i na pilnowaniu nici, odbywa on bezustanną wędrówkę za selfaktorem, który porusza się naprzód i w tył o kilkanaście kroków. Robi więc w ciągu dnia kilkanaście mil drogi, przyczem uwaga natężona jest zwróconą na cały szereg nici zwijających się z bajeczną szybkością, musi zauważyć każde zerwanie, każde splątanie się każdej z nitek, ręce są w ciągłym ruchu, korpus naprzód pochylony. Zaręczam, że mózg owego posiadacza zdrowego rozsądku wyczerpałby się przy takiej pracy bardzo szybko. Krosna tkackie uproszczono znakomicie, praca polega tylko na dozorowaniu, ale krosno to pracuje dziś z szybkością 2 razy większą niż przed laty 20, a 3 razy większą niż przed laty 50-ciu. Robotnik dozoruje dziś nie jednego a 2 i 3 krosien. Jedna chwila nieuwagi i w tkaninie są skazy. Bezustanna uwaga, bezustanne przebieganie od krosna do krosna, bezustanna, jakkolwiek nie ciężka, praca rąk. Maszyna drukarska n. p. drukuje dziś 1000 metrów perkalu w czasie, w którym dawniej drukowała 20. Maszyna drukarska w drukarni książek również porusza się z bajeczną szybkością. Stanca żelazna bije dziś 6 razy szybciej i t. d. i t. d. Rezultat jest więc ten, że robotnicy przy tych maszynach, jakkolwiek nie natężają swoich mięśni tak, jak n. p. rolnik przy uprawie ziemi, mają pracę wyczerpującą ich siły nerwowe, a to jest pracą cięższą, o czem wie każdy hygienista. Nie zapominajmy także, że praca w warsztatach zawsze ujemnie wpływa na zdrowie. Kamieniarze dostają suchot w 30 roku prawie bez wyjątku, podobnie szlifierze; robotnicy w przędzalniach i tkalniach oddychają pyłem bawełnianym i barwnikami, robotnicy w hutach szklanych ślepną i dostają suchot, robotnicy w przemyśle chemicznym zatruwają się powoli i dostają niechybnie reumatyzmu.

Nie prawdą też jest, że inteligencya dziś jest niepotrzebną robotnikowi. Kto pracował w fabryce chociaż przez miesiąc, wie, że to nonsens. Maszyna jest skomplikowanem mocno narzędziem i nieumiejętna ręka nie jest w stanie nią kierować. Wszyscy technicy n. p. doskonale wiedzą, że wyższość przemysłu angielskiego nad niemieckim, polskiego nad rosyjskim polega nie na maszynach, bo te są zupełnie te same tam i tu, lecz na wyższej inteligencyi robotnika angielskiego nad niemieckim, polskiego nad rosyjskim, na wyższości kultury, a więc robotnikowi maszynowemu prócz rąk trzeba mózgu działającego porządnie. Jeżeli tak jest, dochodzimy do prostego wziosku: człowiek w fabryce pracuje dziś intensywniej niż dawniej, pracuje w warunkach więcej niszczących zdrowie, a zatem musi pracować krócej, bo się wyczerpie, musi mieć więcej wolnego czasu, by odetchnąć świeżem powietrzem, by pozwolić na odpoczynek skołatanym nerwom i wyczerpanemu mózgowi.

Odpowiadają jednakże na to niektórzy: robotnik dzisiejszy, jeżeli dać mu więcej czasu, będzie więcej siedział w szynku, a zatem nie poprawi lecz pogorszy sprawę skrócenia czasu roboczego; jeżeli zaś robotnik będzie pracowitym bardzo i gospodarnym, to zwolniony z pracy fabrycznej będzie zajmował się w domu tak zwaną „fuszerką“, żeby mieć tak zwany nadetatowy zarobek. Co do pierwszego twierdzenia fałsz jego stwierdzonym został przez wspomniane eksperymenty, a przytem faktem jest dowiedzionym, że najwięcej pije robotnik, który najdłużej pracuje. Robotnik angielski czyta, chodzi na przechadzki, gimnastykuje się i bawi, małokulturalny robotnik rosyjski upija się i trwoni czas. Co do drugiego zarzutu, to upada on przez to samo, że robotnik fabryczny nie jest rzemieślnikiem, warsztatu nie ma i „fuszerować“ już przez to samo nie może.

Jeżeli więc tak jest, jeżeli skrócenie dnia roboczego fabrykantom szkody nie przynosi, dla czegoż z takim uporem sprzeciwiają się oni każdemu usiłowaniu w tym kierunku? Dla tego, że reguła, iż krótsza praca jest wydajniejszą stosuje się tylko do zakładów większych, stojących na wyżynie tegoczesnej techniki, że skrócenie dnia wymaga częstokroć nowych nakładów, na które nie każdy przedsiębiorca zdobyć się może, dla tego, że wprowadzenie takich zmian wymaga po kierowniku fabryki inteligencyi i umiejętności, a dziś często przedsiębiorcy, zarzucający robotnikom swoim głupotę, sami nią grzeszą w swoim zakresie, dla tego nareszcie, że wrodzona apatya każe machinalnie bronić się przed nową ideą, jak przed natrętną muchą. Dla tego twierdzimy i tylko dla tego mamy dziś stosunki takie, że pan Rieck w czasopiśmie „Zukunft“ w artykule „W e n n i c h K a i s e r w ä r e“ może opisywać taką rozmowę z dziećmi sąsiada wyrobnika: „Dzieci pójdźcie do rodziców, żeby was umyli.“ — „Ojca ni matki nie ma w domu.“ — „A gdzie są?“ — „Ojciec przy budowie a matka w fabryce.“ — „A kiedyż przychodzą do domu?“ — „Kiedy my spać idziemy.“ — „Kiedyż jesteście razem z matką i z ojcem?“ — „Tylko w niedzielę. Ojciec codzień o piątej wychodzi, a matka o pół do dziewiątej. Ojciec ma milę drogi do budowli, a matka pięć kwadransy do fabryki.“

Pan Rieck powiada, że go te dziecinne odpowiedzi grozą przejęły. Piszący te słowa mógłby mu wskazać tysiące innych rzeczy ciekawych i grozą przejmujących, tysiące obrazków z życia zaczerpniętych, wskazujących na to, że, jak powiada p. Rieck, nasz system gospodarczy powinien znaleść miejsce odpowiednie i godne siebie w muzeum starożytności obok siekiery kamiennej, bo jak ona przeżył swój czas. Ale na cóż to się zdało? Mistrz słowa, genialny ksiądz Staszyc, kiedyś płomiennemi słowy opisywał stan „poddanych“ w Polsce, cudnemi barwy malował obraz tego, coby na miejsce starych stosunków można było stworzyć. Słowa jego przebrzmiały. Trzeba było olbrzymich wstrząśnień, klęsk olbrzymich, spadłych na Europę, żeby uwolnić poddanych.

Czy i teraz tak będzie? Obiecałem czytelnikom na wstępie do moich notatek podawać fakty. Fakty doprowadzają do pytań. Nad odpowiedzią czytelnik sam zechce się zastanowić.

J. B. M.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

Listy te, których druk rozpoczynamy w numerze dzisiejszym, ogłosił J e r z y B r a n d e s w kopenhagskim dzienniku „Politiken“. Znakomity Duńczyk zestawił w pięknych korespondencyach swoich wrażenia, zebrane w roku ubiegłym podczas pobytu w Królestwie Polskiem, a charakterystyka stosunków naszych i działaczy rosyjskich, skreślona świetnem piórem słynnego pisarza, zjednała artykułom tym rozgłos niezwykły.

I.

Wyjechaliśmy z Warszawy po południu, pozostawiając za sobą miasto w promieniach żarzącego słońca. Ludzie na ulicach posuwali się zwolna, szukając cieniu pod ścianami domów — wojskowi: piechota, kozacy i żandarmi, byli w letniem płóciennem umundurowaniu. W pociągu spotkaliśmy dużo znajomych Polaków. Jedni dopiero co wrócili do domu z wycieczek w Tatry i kuracyi w czeskich kąpielach, inni właśnie byli w podróży; było też między nimi kilku okolicznych obywateli. W korytarzu potworzyły się grupy rozmawiających żywo, śmiano się, żartowano i czas przeleciał niepostrzeżenie. Na stacyi czekały na nas powozy, jedne dla zabrania całego naszego towarzystwa, inne zaś pod rzeczy. Czwórka dzielnych koni ruszyła z miejsca, unosząc nas w ten piękny, pogodny wieczór letni po doskonałych szosach jeszcze z Napoleońskich czasów, później po ciężkich, piaszczystych drogach, na których koła zapadały głęboko, wreszcie przez nieskończenie długą aleję wyniosłych topoli.

Towarzysz mój opowiadał nam przez ten czas o rozmowach swoich i stosunkach z jenerał-gubernatorem warszawskim, którego i ja miałem przyjemność poznać niegdyś osobiście. Wezwał on go do siebie po apoplektycznym ataku, jakiemu uległ w zeszłym roku i prosił o towarzyszenie sobie w podróży. Hurko jest niewątpliwie wybitniejszym jako jenerał, niż jako ogólno-ludzka inteligencya. Wszędzie, skądkolwiek wyjeżdżali, pozostawiał za sobą parę butów, będąc przekonanym, iż był to środek konieczny, by wrócić kiedyś jeszcze żywym do tej miejscowości. Henryk zrobił mu uwagę, że nawet w razie, gdyby zapomniana para butów miała być głównym warunkiem do ujrzenia na nowo opuszczonego miejsca, to jednak wątpliwem jest, czy przez umyślne pozostawienie można osiągnąć równy rezultat. Hurko odpowiedział mu na to, że jego doświadczenie bezwzględnie utwierdziło go w tem przekonaniu; ilekroć miał się znaleść w niebezpieczeństwie, zostawiał zawsze buty za sobą i w ten sposób rozsiał w granicach Rosyi, w Turcyi i w Azyi ni mniej ni więcej jak sto dwanaście par. Niejednokrotnie to, co się nam zdaje być bohaterstwem, jest tylko taką niewzruszoną wiarą — w buty!

Jechaliśmy i jechali wciąż — ściemniło się i gwiazdy ukazały się na niebie — mijaliśmy nędzne miasteczka i jeszcze nędzniejsze od nich wioski, pobielone domki z pruskiego muru i zwykłe, słomą kryte, drewniane chaty, przed któremi uwijały się gromady bosych dzieciaków; konie były niezmordowane, a aleja z topoli zdawała się nie mieć końca. Jak daleko zasięgnąć wzrokiem, nigdzie ani śladu dworskich zabudowań na kilka mil wokoło; zacząłem utrzymywać, że ów dwór, do którego dążymy, nie istnieje chyba wcale, że prawdopodobnie zakreślamy tylko olbrzymi krąg, by nad ranem znaleść się na przebytej przez nas drodze i wjechać powolnym krokiem, znużeni, na tę samą stacyę, którąśmy opuścili. Duże oczy pani Maryi, wesołe, śmiejące, błysnęły w ciemności, a dwie młode panienki, jadące z nami na wieś jako goście, przytakiwały mi i, by sobie długą podróż urozmaicić, zaczęły opowiadać różne historye, któremi się ubawiły do tego stopnia, że się potem wstrzymać od śmiechu nie mogły. Jedno zabawne opowiadanie wywoływało inne i wśród aromatycynych pól i przejrzystych ciemności nocy letniej, podczas gdy powietrze stawało się coraz chłodniejszem i bardziej oświeżającem, przelatywał powóz nasz napełniony śmiechem i wesołością. Zdawałoby się, że w nim się znajdują sami szczęśliwi i weseli ludzie.

Nareszcie w grupach drzew mignęło nam coś białego i wkróce dojrzeliśmy zarysy obszernego wiejskiego dworu i otaczającego go rozległego ogrodu. Powóz zatoczył koło, zawrócił w otwartą bramę i stanął. W jasno oświetlonej sieni zebraną była cała służba na powitanie oczekiwanych państwa, a gdy każdy z przybyłych w przeznaczonym dlań pokoju ogarnął się trochę po podróży, całe towarzystwo zgromadziło się w sali jadalnej przy obiedzie, który musiano odłożyć na tak późną porę. Mile uderzyła oczy nasze wielka obfitość kwiatów i stół z zastawą elegancką i wspaniałą; zasiedliśmy do obiadu złożonego z wyśmienitych

potraw, po których popijaliśmy polskie wino szampańskie, t. j. raczej francuskie, ale przywożone do kraju niedokończone, by otrzymać tu już ostatnią przyprawę, bo inaczej cło samo wynosi po 2 rs. 50 kop. od butelki.

Od czasu jak bawię tutaj poznałem okolicę i miejscowe warunki, tem lepiej, iż żaden powiew z dalszego świata nie zakłócił mego spokoju. Niepodobna mi było otrzymać dotychczas ani jednego listu, ani jednej gazety, wszystkie adresowane do mnie pisma odsyłane są do cenzury, a listy zatrzymywane w Warszawie. Nie mam żadnych wiadomości o świecie, mianowicie o Danii, oprócz tego, co uda mi się znaleść w telegramach „Gazety polskiej", a muszę przyznać, iż niezbyt to wiele. Telegrafowałem już o to, rozpisywałem listy, posyłałem umyślnego do zarządu pocztowego w Warszawie — napróżno; wszystko rozbija się o słynną rosyjską biurokracyę. Czyż bo gdziekolwiek na świecie, nawet w Turcyi, spotyka się tak szeroko rozwinięte prawo bezprawia jak w Rosyi?

Poza granicami pięknego ogrodu rozciąga się rozległy, płaski krajobraz, powabny przy całej swej prostocie. Przedstawia się on bogato, bo widać same uprawne pola, a wysokie topole i brzozy, wierzby i lipy ocieniające drogi, dodają mu wdzięku. Największą zaś jego ozdobą są w obecnej chwili olbrzymie sterty zboża, ustawione w sposób u nas nieznany, jakby starożytne okrągłe wieże z dość płaskiemi, śpiczasto zakończonemi dachami. Dach ten jaśnieje w słońcu złocistą barwą, podczas gdy wieża sama ma odcień ciemniejszy, bo tam nie widać kłosów w całej ich długości; sterty te robią niezwykły efekt i ogromnie ożywiają pola. Zresztą rozległą równinę przerywają tylko porozrzucane tu i owdzie wiatraki, drzewa, któremi obsadzono drogi, w oddali kościół jakiś lub lasek. Dziewczęta w jaskrawych chustkach na głowach uwijają się wszędzie, zgrabiając resztki zboża. Urządzenie całego domu jest bez zarzutu — robi on wrażenie oazy cywilizacyi wśród tej prostoty i pierwotnego bytu. Wszystko tu wyszukane i urządzone ze smakiem, a co mi szczególniej przemawia do serca to olbrzymia biblioteka, tak wyborowa, pouczająca i prześlicznie utrzymana, że trudno jest znaleść coś podobnego w prywatnym domu, chociażby nawet w stolicach; każdy pokój ma właściwą sobie, oryginalną cechę, a parter kończy się wspaniałą oranżeryą z palmami. Dom ten odbija rażąco od mieszkań wokoło. Włościanie, potrzebujący pomocy lub rady, nie udają się o nią do księdza, który zresztą jest bardzo zacnym, młodym człowiekiem, (odbywał studya w Rzymie i mówi trochę po włosku) ale idą wprost do dziedziczki do dworu, a trzeba przyznać, iż tak pierwotną jest w nich ludzka natura i tak pozbawioną poczucia godności osobistej, że czego im nie dadzą, to sami sobie ukradną. Kradną oni wszystko, co tylko się da ukraść, począwszy od kury i ogrodniczych narzędzi, a kończąc na drzewach w lesie, które wywożą ukradkiem setkami, z tą większą gorliwością, że nie są za to karani. Pani Marya twierdzi zwykle: „cóż zrobić, oni są tak biedni, to ich tłomaczy..." Upał jest, ale rzadko bywa on zbyt uciążliwem i w każdej chwili mamy sposobność użycia doskonałej kąpieli. Muchy tylko i komary dokuczają trochę, ale zabezpieczono się przeciw nim przez pełne dowcipu urządzenie, że wewnętrzne okna mają w ramach zamiast szyb naciągniętą cieniuchną, drucianą siatkę, która pozwala przez cały dzień siedzieć przy otwartem oknie i używać świeżego powietrza, bez obawy, by jakikolwiek owad wcisnął się do pokoju. Nigdzie, nawet w Holandyi, nie widziałem takiej czystości i porządku jak tutaj. Stanowi on wydatną różnicę pomiędzy klasą wykształconą a pospólstwem w Polsce. Codziennie, a nawet często parę razy na dzień doprowadza się cały dom do porządku, dwoje lub troje służących zabiera się jednocześnie do uprzątnięcia jednego pokoju i w kwadrans cała robota skończona. Pomiędzy gośćmi, przepełniającymi dom nieustannie, mieliśmy wczoraj kilku malarzy polskich z Monachium. Z przybyciem tych panów doszła do nas woń farb, pracowni, oraz powiew szerszego świata z artystycznej ich siedziby, dziś znów przyjechał tu redaktor jednego z większych pism w Warszawie.

Przygnębiającem jest poczucie, do jakiego stopnia ucisk rosyjski wzmógł się i umocnił od czasu mojej ostatniej bytności. Wówczas otrzymywało się pisma pod opaską, bez uprzedniego odsyłania ich do cenzury, gdy były drukowane w języku, którego nie rozumiano tutaj, obecnie jest to niedozwolonem i pisma te muszą być przesłane do centralnego komitetu w Petersburgu. Francuskie pisma otrzymujemy tu po ośmiu dniach dopiero a jakże dużo w nich zaczernionych ustępów i artykułów! Niekiedy całe numera tak klerykalnego i konserwatywnego pisma jak „Figaro" są konfiskowane; w „La vie parisienne" zamazują wszystko, co nie jest w zgodzie z pojęciami rosyjskiego rządu o moralności — pokaźna zaś tego ilość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwestyonaryusz
w sprawie francuzko-niemieckiej przyjaźni.

Czasopisma „Neue deutsche Rundschau" i „Mercure de Paris" rozesłały przed niedawnym czasem kwestyonaryusz, zawierający dwa interesujące pytania: 1) O ile jest możliwem zbliżenie Francyi i Niemiec na polu umysłowem i ekonomicznem? 2) Jakie środki należy przedsięwziąć, by utorować drogę do tych pokojowych stosunków?

Przekonani, że odpowiedzi udzielone na powyższe pytania przez wybitnych reprezentantów nauki i sztuki, zainteresują czytelników naszych, podajemy poniżej w streszczeniu wiązankę najcharakterystyczniejszych głosów. Z jednej strony jubileuszowe fanfary Sedanu, z drugiej dźwięki pokoju; zauważyć jednak wypada, że zwyciężeni okazują się pohopniejszymi do zgody niż zwycięzcy.

* * *

Paul Adam. Jesteśmy duchowymi synami Goethego i Hegla pomimo odziedziczonego po Montaigne'u pyrrhonizmu. Niemcy jest to kraj, od którego najwięcej zapożyczyliśmy na schyłku tego wieku. W krwawym uścisku odbywa się zapłodnienie ducha. Przyjęcie, którego doznali we Francyi Wagner, Nietzsche, Hauptmann i Nordau — wszystko to są fakty pocieszające dla tych, którzy gorąco życzyliby sobie zaniku barbarzyństwa. Niechaj więc powstanie niemiecko-francuzka liga, zmierzająca ku zniesieniu międzynarodowej waśni.

J. Allemane, jako wróg rozterek międzynarodowych, przyklaskuje pięknej myśli poruszonej w kwestyonaryuszu. Popularyzacya najlepszych utworów filozoficznych i artystycznych obydwu narodów, powołanie do życia organizacyi, łagodzących konkurencyą, oto niektóre środki, mogące w pewnym stopniu przyczynić się do zwalenia chińskiego muru nieporozumień, dzielących dwa ościenne narody.

Maurice Barrès. Zadziwiające są rezultaty nieustannej cyrkulacyi i dyffuzyi idei pomiędzy obydwu narodami. Niemiecki geniusz uległ wpływowi francuzkiej rzeczywistości. Heine, Schopenhauer i Nietzsche znaleźli we Francyi drugą ojczyznę, Taine i Renan są krewniakami niemieckich metafizyków.

Charles Gide jest zdania, iż pierwszy krok powinni zrobić Francuzi, gdyż bezwarunkowo 10 razy większa ilość Niemców mówi po francuzku niż odwrotnie. Należy pomyśleć o gorliwszem szerzeniu niemieckiego języka we Francyi, niż to robiono dotychczas.

Jean Grave. Różnice rasowe są tylko rezultatem otoczenia i stanowiska w przestrzeni i czasie. Narodowość jest to termin geograficzny. Istnieje właściwie jedna rasa. Ziemia jest tak rozległą, że jest nonsensem walczyć o jakiś szmat gruntu. Wojna jest szaleństwem, gdyż wynagradza jednę ze stron kosztem nietylko zwyciężonego lecz i zwycięzcy. Gdyby dzisiejsze narody stały na wysokości prawdziwej cywilizacyi, nie wahałyby się ani na chwilę zamienić dotychczasowej nienawiści na przyjaźń.

J. K. Huysmans. Czy istnieje wogóle jeszcze kwestya patryotyczna? Przed kilkoma laty powiedział, iż człowiek z Lipska jest mu milszym niż z Marseille. Obecnie budzi w nim jednakowy wstręt nowoczesny człowiek jakiejkolwiek narodowości.

Maurice Maeterlinck. Duchowa wymiana tworzy bogactwo. Po upływie pewnego czasu każda strona widzi, iż otrzymała więcej niż dała. Czem byłaby dzisiejsza francuzka literatura bez romantycznego ruchu 1831 r. Lecz Goethe nie stworzyłby Iphigenii, gdyby Francuzi nie wtajemniczyli go w ducha greckiego piękna. Metafizyka była największym przewrotem w rozwoju umysłowym Europy. Jako środek zaleca on uczenie się języka sąsiada.

Th. Ribot pisze się na polepszenie stosunków pomiędzy Francyą a Niemcami. Sam posługuje się wciąż pracami Niemców, podziwiając zamiłowanie tego narodu do nauki, jego poświęcenie i cierpliwość, gdy idzie o niewdzięczne i wymagające wiele czasu prace. Tłomaczenia i krytyki jest to najlepszy środek zaznajomienia jednego narodu z drugim. Już 17 stuleciu, obfitującemu w krwawe wojny, przyświecała idea o „Rêpublique des lettres". Czyżby to dziś było mniej możliwem?

Laurent Tailhade rumieni się, gdy widzi, jak żołdak wdziera się do sanktuaryum sztuki. Od 80 lat Niemcy są nauczycielami Francuzów. Kant, Hegel i Szopenhauer nauczyli ich logiki, Niebuhr, Mommsen i Kreuzer historyi, olbrzym Goethe jest syntezą nowoczesnego ducha. Niemcy na nowo wynalazły dramat. Co do środków, o które zapytuje kwestyonaryusz, najlepiej byłoby wybór takowych pozostawić cesarzowi Wilhelmowi II. Można zalecić studyowanie niemieckiego języka i wysyłanie uczniów francuzkich szkół do Niemiec.

T. de Wyzewa. Sudermann już został adoptowanym przez Francyę. Wagner, Nietzsche, Teodor Fontane i Hauptmann cieszą się tam wielkiem powodzeniem. Z nowości pozostają tylko jeszcze nieznane romanse Holländera i nowele Herm. Bahra, sympatyczne opery Rich. Straussa, szatańskie poezye Fuchsa, allegorye Stucka i wodewile Blumenthala, lecz wszystko to niestety jest już w drodze do Paryża. Niemiecki duch narobił już wiele szkody w ostatnich 20 latach. Francuzi pod wpływem swego sąsiada stracili zamiłowanie do porządku, przejrzystości myślenia i elegancyi. Francuzkie bulwary są już tylko szeregiem knajp; dystrybucye ozdabiają okna wystawowe pociągającemi obrazkami, podobnie jak to się dzieje po prawej stronie Renu; francuzkie panny w Moulin Rouge zaczynają się ubierać z gustem, godnym pięknych cór Berlina. Sam de Wyzewa, zaznajamiając swych rodaków (jest to zresztą Polak) z ludźmi i pracami innych narodowości, nie myślał bynajmniej stawiać ich jako wzór Francuzom. Po kilka tygodni gawędzi się z Sudermanem i Strindbergiem o różnych kwestyach, jak gdyby takich osobistości nie można było znaleźć wśród rodowitych Francuzów.

Otto Julius Birnbaum. W starożytności była wojna więcej arystokratyczną. Nowsze czasy nadały jej charakter demokratyczny. Należy powrócić do starych czasów wysyłając na walkę królów umysłu i sztuki. Potrafią oni nietylko bić się, lecz i kochać. Ponieważ siła mistrza polega na jego przekonywaniu innych, zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, iż zapaśnicy powróciwszy z niekrwawego pojedynku, pociągną za sobą masy i nawrócą je na łono religii miłości, nie zważając na złorzeczenia pana Chauvin i Michała Rasselspiessa.

Lujo Brentano. Misya Zachodniej Europy jest rzeczą o wiele ważniejszą od spraw konkurencyi. Zdobycze cywilizacyi przenikają do coraz niższych warstw. Żadne zaś państwo nie jest w stanie urzeczywistnić tej dążności wieku, nie korzystając z obcej pomocy. Czyż trzeba lepszych dowodów jedności kultury Zachodniej Europy? Wielu Francuzów jest już współpracownikami niemieckich pism i odwrotnie. Z każdym rokiem rośnie ilość Francuzów, przybywających w celu uczenia się do Niemiec. Będzie

rzeczą nietrudną rozwijać dalej to, co już istnieje w zarodku.

Fel. Dahn. Godną jest ubolewania nienawiść dwu narodów, lecz winni są stanowczo Francuzi. Nie mogą oni wybaczyć, iż zostali ukarani za swe bezczelne zaczepki. Jeszcze w początku stulecia wołali „Revanche pour Waterloo“. Krzyczeli nawet później w niebogłosy „Revanche pour Sadowa“, gdzie nie ponieśli żadnych strat. Płonnemi są wszelkie nadzieje przebłagania Francuzów. Ferry upadł, będąc podejrzywanym o konszachty z Bismarckiem. Nazajutrz po ułaskawieniu dwu francuzkich szpiegów przez Wilhelma II prasa zaczęła trąbić, iż „taki cesarz“ zwróci Alzacyą i Lotaryngią. Ba! wołano już, iż Ren powinien zostać naturalną granicą Francyi. Czyżby Niemcy miały się ubiegać o łaski Francyi, dostając ciągle odprawę? Nigdy!

M. Gumplowicz (mylnie uważany za Niemca). Odpowiedź na postawione pytanie może być daną tylko z szerszego stanowiska. Między państwami Zach. Europy odbywa się proces asymilacyi, który jest powtórzeniem na wyższym stopniu tego, co niegdyś spoiło w całość dzisiejsze państwa. Już się wówczas pojawiły pierwsze początki tego procesu, jakkolwiek krzyżowane przez polityczne intermezza. Pocóż więc łamać sobie głowę nad sposobami wyręczenia Klio, która najdziwniejszemi drogami osięga swoje cele. Z tego punktu widzenia łatwo wskazać środki, o które zapytuje kwestyonaryusz. Istnieje właściwie jeden środek: szerzenie naukowego poglądu, iż pojednanie dwu narodów wypływa z istoty historyi i jako konieczność nakazana przez naturę rzeczy musi nastąpić chociażby wbrew woli jednostek.

Max Halbe. Byłoby to rozwiązaniem kwadratury koła szukać z jednej strony zbliżenia się na polu umysłowem i ekonomicznem, a z drugiej kąsać się i wygrażać orężem. Żaden naród nie jest zdolnym do takiej podwójnej buchalteryi. Niechaj więc polityka zrobi pierwszy krok.

Fryd. Spielhagen. Ci, co „wychowanie ludzkości“ w znaczeniu Lessingowskiem nie uważają za myśl godną szaleńca, będą sobie serdecznie życzyli zbliżenia a nawet przyjaźni dwu narodów. Wyraża on przekonanie, iż ani jeden głos nie stanie w obronie obecnej smutnej sytuacyi. Chociażby zdanie jednostek miało pozostać głosem wołającym na puszczy, jest obowiązkiem każdego szerzyć ewangelią miłości. Zachodzi tylko obawa, że po tamtej stronie Renu wszelkie pokojowe aspiracye będą tłomaczone jako *captatio benevolentine.*

Adolf Wagner. Zbliżenie byłoby korzystnem dla obydwu stron, które wzajemnie się dopełniają. Dwa te narody, stanowiące punkt ciężkości w rozwoju kultury, powinny stworzyć jądro wielkiej organizacyi gospodarczej. Takie same dopełnienie widzimy i pod względem umysłu. Francuzki *ésprit*, mistrzowstwo formy, rzutkość umysłu po jednej stronie, siła zaś spekulacyi, wszechstronność umysłu i objektywne traktowanie rzeczy po drugiej, — są to zalety, któremi się nie może pochwalić z wyjątkiem Francuzów i Niemców ani jeden naród w Europie. Lecz przedewszystkiem trzeba załatwić rachunki polityczne. Dla Niemiec nie istnieje już wcale kwestya alzackolotaryngska. Pokój frankfurtski jest faktem niezachwianym. Niech więc mu i Francuzi dadzą swą sankcyę. Niech przestaną widzieć w wojnie 1870 r., w której dali niezaprzeczone dowody męztwa, ciemną plamę na swej przeszłości. Niech porzucą myśl odwetu. Gdy Francya zdobędzie się na tyle cywilnej odwagi, można będzie mówić o pojednaniu dwu zwaśnionych narodów. *Urb.*

KRONIKA LONDYNSKA.

22-go września 1895.

(Podróż lorda majora do Francyi. — Najświeższy pomysł pomysłowego pana Stead'a.)

Z początkiem listopada upływa peryod jednorocznego urzędowania burmistrza handlowej metropoli londyńskiej — City. Idąc przeto śladami swych poprzedników, Sir Józef Renals starał się z pomocą swych milionów jak najpiękniej przedstawić światu złote „serce Londynu“ oraz, póki nadarza się sposobność, zabawić się w króla. Nie dość było mu poczęstować obiadem Szazadę, świetnie tu przyjmowanego syna emira Afganistanu, wybrał się on na wystawę do Bordeaux wraz z swą czerwoną karocą, złotymi łańcuchami, swą żoną i w peruki zdobnymi lokajami. Na domiar zaprosił prezydenta Francyi do Londynu. Sfery wyższe z obawą patrzały na rozbawionego burmistrza, który naraz pokochał Francyą gwałtowniej, niż zezwala na to Salisbury i polityka. Lecz lord-major wsparty na przywilejach przysługujących mu, nie wiele się troszczył o to i pojechał. Zabawił się doskonale, wrócił oczarowany przyjęciem władz, ludności a zwłaszcza prezydentem i zachowa z pewnością jak najmilsze wspomnienie do końca życia. Jest jednakże wątpliwem, czy doczeka się odwiedzin prezydenta, który radby na inwitacyi lordamajora znaleźć także podpis królowej.

Wiadomo ogólnie, że redaktor „Przeglądu Przeglądów“ p. W. T. Stead jest mężem obfitującym w pomysły. Tak jak za włożeniem w automatyczną maszynę pensa wydobywa się ładnie zawinięty karmelek, za pół szylinga miesięcznie można otrzymać nową ideę pana Steada. Nie ma sfery, w którą umysł jego by nie wtargnął i tak np. udzielał rad, jakie kucharki należy przyjmować, projektował gremialne pielgrzymki do miejsc urodzenia wielkich ludzi, komunikował wyniki swych obserwacyi z krainy pozaświatowej, życzył sobie utworzyć kompendium literatury, nad któremby królował, kusił się o wynalezienie hygieniczno-medycznych środków przeciw alkoholizmowi, udzielał bezpłatnie i osobiście dobrych rad ojcu świętemu, wizytował zmarłego cara, a wróciwszy olśniony, począł stale robić Rosyi reklamę. Tak tedy robił co się dało. Większość pomysłów poszła do kosza i nie wydobędzie ich żadna siła ludzka na światło dzienne, ale mniejsza o to. Jeżeli społeczność nie miała dotąd pożytku, kasa redakcyjna zasiliła się przyzwoicie. Do rzędu niezliczonych projektów przybył teraz pomysł założenia biura, za którego pośrednictwem możnaby otrzymać gotowe dziecko. Jak się okazuje z jednej opublikowanej w tym katolickim organie oferty można nawet ewentualnie dostać w dodatku matkę dziecka. Otóż bowiem jedna z matek, mająca na zbyciu niemowlę nieznanego ojca, prócz opisu potomka dodaje swój, zapewniając, że „jest młoda, urodziwa i muzykalna“. Nie dość na tem; p. Stead jako radykalista nie zatrzymuje się na pół drogi. Z chwilą gdy biuro: „B a b y E x c h a n g e“ okaże się praktycznem, zamierza robić konkurencyą biurom matrymonialnym. I zgłosiło się już kilku kawalerów poszukujących towarzyszki życia, między innymi duchowny kościoła anglikańskiego, który prócz małżonki potrzebuje czterysta funtów szterlingów rocznej renty. Interes byłby odrazu popłynął rączym strumieniem, bo kandydatek hymenu nawet na eksport jest mnóstwo, ale w tem sęk, że trudno — o renty. A brak dotąd panu Stead takich mężczyzn, którzyby tylko potrzebowali żony. I nie dość na tem jeszcze. Projektowana instytucya ma pośredniczyć także w wymianie — mężów i żon (sic). Trybunał rozwodowy bowiem jest przystępnym tylko dla osób zamożnych. O home, sweet home!... Nie będąc socyologiem nie umiem powiedzieć, ile dobra wyniknie z tej idei pana Steada dla kraju — ale wydaje mi się ona świetnym pomysłem do farsy. Wyobraźmy sobie bowiem krzykliwe paczki z niemowlętami, tarzające się po redakcyjnych stołach, strojne matki posługujące się gazetami jako pieluszkami, panny z świadectwami od bankierów i lekarzy, żony wiodące małżonków na targ matrymonialny. Ileż tu sprzecznych interesów, jakie szerokie pole dla wodewilisty, którego fantazya nurzać się może tu rozkosznie i wydobywać sytuacye i sceny komiczne bez końca. Sztuka na tem tle byłaby sławną reklamą dla E x c h a n g e, i niemniej dobrze poleciłaby głowę pana Steada i dzielny „Przegląd Przeglądów“.

Nobody.

BADANIA NAUKOWE.

Ciekawe doświadczenia Picteta.

Znany szwajcarski uczony, Pictet, którego imię tak ściśle związane jest z metodami skraplania gazów trwałych, ostatniemi czasy badał wpływ nizkiej temperatury na różne organizmy. Do tego celu służyły mu ssaki, ptaki, żaby, węże, owady, wymoczki, mikroby i t. d. Poddawane doświadczeniu indywiduum wprowadzono do szczelnie zamkniętego naczynia, którego powietrze ochładzano stopniowo aż do 200 stopni niżej zera. Pictet obserwował wtedy i notował zmiany, jakie zdradzał puls, oddech, wymiana materyi i utrata powolna ciepła wewnętrznego do czasu zupełnego zmarznięcia. Poddał on wreszcie temu samemu doświadczeniu swój własny organizm, wyłączając organa oddechowe i przekonał się o wysokim stopniu odporności, jaką organizm człowieka względem mrozu stawić może; musiał tylko skrupulatnie unikać dotykania metalowych części naczynia, gdyż okoliczność ta powodowała dotkliwe, do zagojenia trudne rany.

Z liczby doświadczeń, z których znaczna część dokonaną została przy współudziale innych uczonych, jak: Kazimierz de Landolle, Sarasin, E. Jung, Du Bois-Reymond, Bertin, opiszemy niektóre. Najciekawszem z nich jest doświadczenie z psem, ważącym 8,5 kilogr. Zwierzę wprowadzono do naczynia wtedy, kiedy temperatura w niem wykazywała —92 stopnie. Podpadająca reakcya ciała nastąpiła natychmiast; oddech w przeciągu 12—13 minut staje się szybszym; termometr umieszczony pod łopatką podnosi się o pół stopnia i opada dopiero po upływie 25 minut do pierwotnego poziomu. Pies pożera teraz chciwie zostawiony w naczyniu chleb, którym wprzód gardził. Okoliczność ta wykazuje, że chodzi tu o przysporzenie organizmowi nowego zapasu ciepła przez proces trawienia. Dopiero po upływie następnych 40 minut członki zaczynają marznąć, gdy tymczasem temperatura ciała pozostaje jeszcze stałą w ciągu godziny. Pies dostaje znów około 100 gramów chleba i takowy wchłania poprostu. Tym sposobem, przez szybszy oddech i powyższe spożycie nowej porcyi chleba, temperatura ciała podniosła się znów cokolwiek i stale w ciągu półtorej godziny utrzymywała. Teraz jednak termometr opada szybko i przed upływem dwóch godzin od początku doświadczenia pokazuje już tylko 28 stopni ciepła. Zwierzę traci przytomność i wydobywane bywa z naczynia martwe z odmarzniętemi łapami.

Większą bez porównania wytrzymałość na zimno zdradzają zwierzęta zimno-krwiste. Trudno zaiste uwierzyć, aby osobniki tych kategoryi, uległe zmarznięciu, mogły odżyć na nowo. A jednak nie ulega to wątpliwości. Żaby np. wytrzymywały w stanie zamarzniętym temperaturę 28 stopni zimna. Większość z nich jednak po obniżeniu temperatury do 30 i 35 stopni nie wracała do życia. Węże podobnie łatwo znoszą 25 do 30 stopni zimna. Ślimaki, o ile skorupa ich nie była uszkodzoną, żyły w przeciągu kilku dni w temperaturze 110—120 stopni zimna, w przeciwnym jednak razie umierały przy znacznie niższej temperaturze. Infuzorye przestawały dawać znaki życia dopiero wtedy, kiedy je w ciągu 24 godzin trzymano w temperaturze 80—90 stopni zimna.

Mikroby, bacyle, mikrokoki wszelkiego gatunku żyły bez uszczerbku w najniższych temperaturach bardzo długo, bo w ciągu kilku dni a nawet tygodni. Co więcej, niektóre z nich po przebyciu dłuższem w atmosferze skroplonego powietrza, a więc przy 200 stopniach zimna, zdradzały większą rzeźkość i energię. Zdaje się, że pasożyty te są zarówno wytrzymałe tak na bardzo nizkie temperatury jak i na bardzo wysokie i w najgorszym wypadku

ulegają tylko stanowi letargicznemu. Godnem uwagi jest, że nieorganizowane trucizny, powodujące ferment, jak vaccyny i ptomainy nie znoszą nizkiej temperatury, która pozbawia ich limfę zdolności działania. Dotychczas panowało pod tym względem pomiędzy uczonymi zdanie przeciwne. Teraz jednak, po dokonaniu badań powyższych, łatwo przeprowadzić linię demarkacyjną pomiędzy obiema kategoryami zarazków: mikrobami i vaccynami.

Dajmy teraz głos samemu Pictetowi.

„Widzieliśmy — powiada on — że przy nizkich temperaturach, graniczących z 100 stop., wszystkie zjawiska chemiczne nie mają więcej miejsca. Pomimo to, jak mieliśmy się sposobność przekonać, różne zarodki nie ulegają zniszczeniu nawet przy 200 stopniach i żyją potem tak dobrze, jak przedtem. Życie przeto musi być siłą w rodzaju siły ciążenia, siłą, która raz powołana do funkcyi, nie ulega zniszczeniu w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Aby się zmysłowo przejawić, potrzebuje tylko obecności ciepła, wilgoci i światła. Wprawdzie nie udało się dotąd sztucznie wytworzyć pożądanego organizmu, badanie jednak zjawisk życiowych przy najniższych temperaturach i wnioski ztąd wyciągnięte pozwalają nam zaliczyć życie do rzędu stałych sił przyrody“.

Doświadczenia, jakie czynił Pictet na sobie samym, są niemniej ciekawe. Okrywszy się ciepłem, gęstem futrem, kazał on umieścić siebie w naczyniu w ten sposób, aby głowa wystawała na zewnątrz. Naczynie przytem było o ile możności szczelnie zamknięte. Przy 50 stopniach jeszcze futro chroniło ciepło wewnętrzne do tego stopnia, że Pictet zimna nie odczuwał. Kiedy temperatura opadła do 70 stopni, eksperymentator uczuł głód, który dostatecznie zaspokoił i dopiero przy 110 stopniach skóra jego zaczęła podlegać wpływowi mrozu. Pictet twierdzi, że po paru doświadczeniach tego rodzaju uleczonym został gruntownie z choroby narządu trawienia, na którą od lat kilku cierpiał.

F. S.

Z estrady i sceny.

„Pan Senator“ komedya w 3 aktach p. Schönthana i Kadelburga.

Od czasów Kotzebuego mało tylko rozplenił się w Niemczech ów rodzaj pisarzy, który z karykatury typów i sytuacyi buduje rusztowanie sceniczne, — z bezsensu system tworzenia. W szczupłej drużynie, naśladującej w Niemczech nadsekwańskie wzory farsy i krotochwili, uderza nadto fakt jeden, świadczący poniekąd o bezsile autorów, — mówię tu o *literackich spółkach* figurujących niemal na każdym afiszu niemieckiej "Posse" lub "Schwank." Schönthan i Kadelburg, Blumenthal i Kadelburg, Laufs i Jacoby — to głośne małżeństwa wydające na świat najniższy gatunek komedyi, a ta *wspólność* roboty, ta potrzeba złączenia dwóch wysiłków dla ułożenia farsy udatnej nie przemawia bynajmniej na korzyść wszechstronności talentu i bogactwa wyobraźni autorów — jednostek.

Ostatnia z wymienionych spółek tworzy przynajmniej małżeństwo dobrane i wydaje na świat dzieci zdrowe, wrzawą i śmiechem napełniające scenę i teatr — pierwsza natomiast, która najmłodszemu z potomstwa swojego dała imię „Senator“, z sił połączonych zaledwie twórczy złożyła ułamek.

Sobotnia premiera teatru naszego nie sięga do wyżyn owego komizmu, którym bądź co bądź tryskają taki „Ungläubiger Thomas“, „Toller Einfall“ lub „Pension Schöller“, a już całe niebo dzieli ją od francuzkiej „Madame Bonivard“, — w oryginale niemieckim jednak posiada pewien koloryt lokalny, pewną satyrę hamburskiego stempla i ulubione dźwięki Hamburczyków, które dla szerokiego tłumu wołającego tak dziś jak niegdyś „Panem et Circenses“ stanowić zawsze będą magnetyczną przynętę. W polskiem przebraniu i wobec polskiej publiczności giną te uboczne powaby utworu a tem samem płowieje komizm postaci, bledną kolory oryginalnego dowcipu i *traditore* zmienia się w *tradatore*“, jak mówi włoskie przysłowie.

Farsa, — najniższy rodzaj komedyi, najłatwiejszy rodzaj tworzenia! — takby się zdawało. Dobry pomysł i nieco „matematyki scenicznej“ ma według opinii wielu krytyków stanowić o powodzeniu utworu. A jednak ani pomysł ani matematyka przed anemją nie ocali farsy jeżeli architektom sztuki zbraknie obfitej fantazyi komicznej. Bez tego ożywczego źródła autor i w suterynach artyzmu nie zdobędzie palmy i wawrzynu. Bez tej twórczej potęgi powstanie może gdzieniegdzie zręczna mozaika z wykrawków cudzej własności, powstanie ta i owa sytuacya strzelająca salwami śmiechu, powstanie wreszcie jakiś typ łaskoczący widzów, — ale nie powstanie nigdy całość, któraby tak uśpiła normalną logikę publiczności, że porwana w karnawałowy wir poliszynclów, sowizdrzałów i masek zapomni analizować prawdopodobieństwo premis, typów i kombinacyi i z jakiegoś oderwanego od prawideł zdrowego sensu stanowiska rozgrzeszy autora z najdziwaczniejszych karykatur i naryzykowniejszej plątaniny stosunków. Bez bogatej fantazyi nie ma bogactwa akcyi scenicznej a farsa więcej niż którykolwiek gatunek dramatycznej twórczości wymaga różnorodnego, w sytuacyjnem humorze skąpanego życia. Ani lśniący dowcip ani zręczna gra słów i półsłówek nie zwycięży publiczności na przestrzeni długiego wieczoru, bo humor farsy jest humorem sytuacyi.

Spółka literacka, która w warsztacie swoim zbudowała „Pana Senatora“, posiada niewątpliwie znajomość sceny i znajomość tych prawideł matematycznych, na których rusztowanie sztuki poprawnej opierać się musi. Linje krzyżują się zgrabnie, fasada nie grzeszy balastem zbytecznej ornamentyki, lecz ubóstwo inwencyi wyziera z wiązań i rozwoju trzyaktowego gmachu i w trzecim mianowicie akcie przedstawia wrażenie nieznośnego ambarasu, szukającego naprożno nowych motywów dla architektury swojej. Pomysł "Pana Senatora“ nie odznacza się oryginalną świeżością, bo panowie teściowie i panie teściowe, wykradzione z roczników „Fliegende Blätter“, srożyły się już niejednokrotnie na scenach starego i nowego świata. A jednak ten "Pan Senator“, tyranizujący młodego zięcia z senatorskiem „sic volo“ na wydętych wargach, wyklinający melodyjne walce i skoczne mazurki z senatorskiego fortepianu, grający wista z senatorską powagą i zapisujący w senatorskim notesie tematy kazań moralnych dla pokornego męża swej córki, — ta senatorówna olśniona blaskami senatorskiego papy. — ta pani senatorowa, żywy fonograf senatorskiego męża, — ten przyjaciel Gering niosący iskrę buntu w przybytek senatorskiej powagi i ten zięć senatorski z wesołą przeszłością studencką i nieśmiałemi porywami samodzielności. pozostaną zawsze materyałem, z którego ręka wirtuoza wyciosa arcydzieła śmiechu. Chwilami miałem istotne złudzenie, że panowie Schönthan i Kadelburg z starego materyału złożą mistrzowskie wiązanie, bo mianowicie akt II posiada kilka scen porywających wesołością swoją, lecz koniec sztuki zdradził niemiłosiernie całe ubóstwo fantazyi niemieckich autorów i pozostawił wrażenie grzęźnięcia w piasku głębokim wśród wysilonych ruchów i dychawicznego oddechu płuc pozbawionych powietrza. Autorzy zrozumieli dobrze, że sztuce ich zbraknie eksplodującego materyału w rozwiązaniu zawikłań, że grozi im niebezpieczeństwo wstąpienia w ślady niezręcznego anekdociarza opowiadającego puentę, którą słuchacze dawno już odgadli, i dla tego według starej recepty wprowadzili do aktu trzeciego nowe postacie. „Der Mann des dritten Aktes“, — skuteczny to środek na suchoty sztuki, ale czemże jest ta rezonująca Julja i ten blady, bezkrwisty syn senatorski, ukazujący się publiczności pod koniec wieczoru, w porównaniu do takiego agenta Schimla w „Niewiernym Tomaszu“ lub komicznego głuptaska w „Madame Bonivard“. Tam w trzecim akcie wraz z nowymi ludźmi pękają nowe petardy śmiechu, akcya się ożywia, ukryte motywy eksplodują, tu ani Julja ani syn senatorski nie wnoszą nowego życia i nowego śmiechu. A najcharakterystyczniejszem znamieniem dobrej farsy jest humor aktu trzeciego. Jeżeli autorzy nie znąjdą komicznych motywów w rozwiązaniu sztuki, rozpościera się nuda i niesmak w teatrze. Zdrowy rozsądek upomina się o prawa swoje i wyzwolony z uroków humoru pyta zdziwiony, czemu n. p. ten groźny senator hamburgski, ten arystokrata finansowy z drewnianem sercem i drewnianem obliczem rozczula się ni ztąd ni z owąd i kapituluje. Nie pytałby może i nie analizował, gdyby go humor ogłuszył, ale gdy humor ginie, budzi się logika i syczy nad zlepkiem tych fantastycznych zmian i karykatur.

W takich warunkach niełatwem było zadanie artystów, bo nie osłonięci tarczą komicznych sytuacyi prezentować musieli nagie nieprawdopodobieństwo typów. Nie winię zatem pana Skirmunta, że jego Senator był dla publiczności znakiem zapytania, ale zdaje mi się, że w granitowej powadze jego było za mało — farsy wesołej. Gra utalentowanego artysty przypominała zanadto styl poważnej komedyi, w której celuje pan Skirmunt, i dla tego nie radziłbym reżyseryi na przyszłość żądać płaskiego komizmu od bohatera dramatu i przedstawiciela wyższej charakterystyki. I panna *Vernon* w roli senatorskiej córki zdobyła się zaledwie na kilka szczęśliwszych momentów. Gra jej w Barkaroli, pełna finezyi i wytwornego wdzięku, wzbudziła wielkie nadzieje, to też tem dotkliwszy był zawód wyniesiony z sobotniej premiery. Nie przeczę, że postać Agaty do najwdzięczniejszych zaiste nie należy, ale interpretacya p. Vernon była dziwnie sucha; majestatyczna flegma i napuszona wyniosłość nowej artystki, miały jakieś tony, które śmiechu szczerego nie budzą, lecz usta wykrzywiają grymasem. Część druga roli pogodziła mnie nieco z senatorską córką ale i tu myślałem z żalem o pięknych wróżbach Barkaroli. Miałożby to być jedno z owych złudzeń, o których w przeszłej recenzyi mówiłem?

Z całą przyjemnością natomiast zapisuję tu, że nie ziściły się obawy moje wypowiedziane z okazyi pierwszego debiutu pana *Wostrowskiego* w Mazepie. Dziś już z wielkiem prawdopodobieństwem stwierdzić należy fakt, że scena nasza zyskała w młodym artyście siłę rutynowaną i sumienną w charakterze lekkich amantów. Zwracam tylko uwagę panu Wostrowskiemu na pewną przesadę w galopowem tempie mówienia i nadużywanie tonów dyszkantowych, — po za tem jednak podnoszę z szczerem uznaniem poprawność dykcyi, temperament i uderzającą swobodę sceniczną. Nowa „naiwna“ sceny poznańskiej p. *Ogińska* wywarła również korzystne wrażenie, lubo obawiam się, że grzech jednostajności, grasujący epidemicznie w szeregach „naiwnych“, zaciąży wkrótce na młodszej córce „Pana Senatora.“ Z dawnych artystów biorących udział w sobotniej premierze zasługuje na wyróżnienie elegancya i szczerość pani *Jakubowskiej* oraz charakterystyczna owiana prawdziwym humorem interpretacya pani *Królikowskiej*. Pan *Łaski* tylko w wdzięcznej roli dr. Geringa nie wyszukał typu. Kusiciel ten, gracz pierwszej wody, zręczny pogromca senatorskich uroszczeń nie królował nad otoczeniem swojem. Pan Łaski uderzał szczęśliwie w ton lekkiej ironii, lecz tak dyskretnie markował istnienie swoje, że skurczył się i rozpływał. A przecież rosnąć powinien ten Gering, ten *spiritus movens* rewolucyi domowej w senatorskiej klatce.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Przestrach. — Kto otruł ks. Wodę? — Nowy reformator. — Anarchia i socyalizm w pojęciu „Kuryera Pozn.“ — Piekąca rana.)

Co to się stało? Jakiś strach i drżenie idzie po ludziach starego obozu i bieli twarze poważne. Pytam, — milczenie. Tylko ten i ów kładzie palec na ustach, wylękłem okiem zatoczy w około i cichym szeptem rzuca mi słowo: Trucizna! Coś niby czarna chmura zawisła nad miastem i prowincyą naszą. Chwila jeszcze a grom uderzy i śmierć-dusiciel wyciągnie ramiona.

Co to jest? Na rany Boskie gorszą od śmierci jest ta niepewność okrutna. Mówcie więc, a potem niechaj się ziemia roztworzy. — Wreszcie pojąłem. W „Kraju“ petersburskim zabiera głos p. Wojnicz z Poznania i straszne słowo — gorsze niż bomba Ravachola — rzuca między ludek cichy poznańskich filistrów. Słynny pogromca patryotów naszych trojga imion Wojnicz, Domarat i Gwiazdka w klamerkach, taką nowinę obwieszcza Europie zdumionej:

Oto wyrosła na ziemi naszej jakaś „Maffia“ nowa, jakieś olbrzymie sprzysiężenie w rodzaju fenian irlandzkich, mające na usługi swoje nóż i truciznę, a imię jego: „Stronnictwo ludowe“. — Niechaj nikt się nie śmieje, niechaj nikt nie posądza mnie, że naśladując jadowity język poznańskich plotkarzy i plotkarek, kuję sobie bajeczkę gwoli rozweselenia czytelników i dokuczenia najserdeczniejszym. Niewiernym polecam Nr. 36 „Kraju“ petersburskiego, gdzie mimochodem, tak od niechcenia rzuca korespondent poznański twierdzenie, że ks. Wodę z Miasteczka otruło stronnictwo ludowe.

Dzieje tej tragicznej śmierci znane są czytelnikom naszym. Kapłan wstępuje na ambonę i słowo boże głosi parafianom swoim. Nagle urywa, słania się i z okrzykiem: Jestem otruty! pada na ręce przestraszonych włościan. Nie pomogła sztuka lekarska, — po krótkich męczarniach zmarł proboszcz z Miasteczka, — w ampułkach znaleziono strychninę. Kto winien? Sąd i policya szukają zbrodniarza, a gdy pewnych poszlaków odkryć nie zdołano, latają sobie po kraju baśnie tajemnicze i sieć legend fantastycznych oplata pamięć nieboszczyka. Jedni opowiadają jakieś dziwy o kradzieży kościelnych pieniędzy, którą wytropił ks. Woda i dla tego — paść musiał ofiarą. Umarli nie mówią, więc mu strychniny nasypał złoczyńca. Inni — snać nie pojmując, by tragedya bez miłości obejść się miała, — nucą balady o zemście zdradzonej kochanki; — są wreszcie tacy, którzy gruchają coś arcyskomplikowanego o podwójnym testamencie, najazdach rodziny, kodycylach i tym podobnych strasznościach à la „Żyd wieczny tułacz“, „Tajemnice Paryża“ lub „Ponury dom w Warszawie“. Wreszcie przemawia pan Wojnicz: Publiczność, żandarmi i prokurator na fałszywym znajdują się tropie. Trucicielem jest stronnictwo ludowe. C u i p r o d e s t? — pytam. A ks. Woda był wrogiem „Orędownika“, „Postępu“ i całej zgrai burzycieli.

Zimno się robi i „coś mi tu jęczy pogrzebowym dzwonem“, jak mówi Słowacki. Bo że partya „Orędownika“ i „Postępu“ składa się z „warchołów, wrogów Kościoła, socyalistów, bosaków“ i t. d., o tem nas od lat kilku informuje „Kuryer Poznański“ i Wojnicz, jego adjutant, ale że ten zuchwały dr. Szymański i Spółka zorganizował bandę trucicieli i sprowadziwszy do redakcyjnej jaskini kilka pudów strychniny, niesie śmierć w ciche plebanje i świątynie Pańskie, tego zaiste nie wykrztusił jeszcze żaden z paszkwilantów „ładu i porządku“. A więc stronnictwo mordu powstało na poznańskim gruncie i dzięki policyjnym zdolnościom pana Wojnicza prokurator niemiecki honor swój ocali. Nie wątpimy ani jednej chwili, że rząd pruski stan oblężenia ogłosi w Poznaniu, że ziemia zczerwieni się krwią spływającą z szafotów i „będą teraz kiry i trumny w kościele“. Straszne czasy! Rozumiem dobrze przestrach rozmaitych Wojniczów, lecz ufam i wierzę, że za te drobne zasługi, które pismo nasze około stronnictwa ludowego położyło, panowie truciciele raczą oszczędzać żołądek redakcyi, który niewyćwiczony w kunszcie Mitridata, strychniny nawet w małych dawkach nie znosi.

Z wieścią o fenianach poznańskich łączy się druga podobnego gatunku nowina. Oto „Kuryer Poznański“ zwiastuje lojalnym czytelnikom swoim, że w oficynie drukarskiej p. Krzyżankiewicza ukazał się „Katechizm socyalistyczny, ba! nawet anarchistyczny“. Władza policyjna aresztem książkę okłada, lecz już na drugi dzień przeprasza z wstydu rumieńcem, że poszła na lep Kuryerowy. W mig dwa procesy się rodzą, — jeden o potwarz, drugi o wykradzenie broszury z drukarni. Zdjęty ciekawością, zapragnąłem poznać ten literacki pierwiosnek socyalizmu i anarchii na poznańskim gruncie. Tytuł „Zapiski“, autorem Mieczysław Barwicki. Dla informacyi czytelników naszych dodaję, że Barwicki jest to sobie malarz-artysta, tułający się od lat wielu po świecie, a obecnie mieszkający stale w Petersburgu. Nie po raz pierwszy zamienia on pędzel na pióro. Czytałem niegdyś jego „Kawałki“ i „Bajki“, a obecnie dowiaduję się, że z łaski „Kuryera“ obłożono mu również aresztem rękopis poematu „Słowianin“. Jakim ołtarzom politycznym służył Barwicki w długiej tułaczce życiowej, tego powiedzieć nie umiem, ale jeżeli „Zapiski“ stanowią jego „credo“ społeczne, to zdaje mi się, że stanął przed nami jeden z owych nieszkodliwych fantastów-nauczycieli, którzy budują w barwnej wyobraźni jakiś nowy porządek świata, gdzie zdaniem ich słońca będzie dużo i szczęścia dużo, a nędza ludzka i łzy przepadną na zawsze. W 612 paragrafach wyśpiewał on państwo przyszłości, — na 93 stronnicach wypowiedział poglądy swoje na język, narodowość, religię, małżeństwo, sztuki piękne, dziennikarstwo, moralność, gościnność i tysiące innych kwestyi życia zbiorowego, a cały ten zlepek prawideł reformacyjnych wywiera wrażenie dziwnej mięszaniny, — coś w rodzaju zbiorowiska liści, pozrywanych z drzew różnorodnego gatunku. Program pana Barwickiego, nie owiany żadną szerszą i jednolitą ideą społeczno-filozoficzną, posiada i tchnienie liberalnych teoryi i łomot pałki policyjnej, nieco Tołstoja i nieco Drakona, nieco rozsądku i centnary nonsensów, jednem słowem wszystko tam jest, a najwięcej głupstwa. Charakterystycznym mianowicie jest wymiar kar, zalecony przez pana Barwickiego prawodawcom przyszłości. Strach, co to będzie, — pół świata zajmą więzienia i szubienice. Ot! mała próbka: § 538 brzmi: „Obrońcy sądowi po udowodnieniu im tego, że skrycie brali zapłatę za niby obronę lub za pouczenie strony oskarżonych, o jakieś krzywdzenie kogoś materyalne lub moralne, lub o sprytne spychanie kogoś do ruiny, mogą być karani od 20—40 lat więzienia, a w gorszych razach ś m i e r c i ą p r z e z z a k o p a n i e ż y w c e m. (!) (Boże, co za styl!) Ten jeden paragraf wystarczy chyba dla zakwestyonowania zdrowego rozsądku autora i nie zajmowałbym zaiste czytelników naszych chorobliwemi fantasmagoryami jakiegoś umysłowego „Pożal się Boże“, gdyby okrzyk „Kuryera Pzznańskiego“: Socyalizm i anarchia! nie rzucał jaskrawego światła na pojęcia kursujące w Poznaniu o najżywotniejszych kwestyach społecznych. Czegoż to ludzie u nas nie nazywają socyalizmem i anarchią? Ciekawy jestem, coby za minę zrobili taki: Marx, Bebel, Réclus, Bakunin i Krapotkin, gdyby im zaprezentowano broszurę naszego reformatora z jej ścisłem zabezpieczeniem własności prywatnej, z jej biurokracyą, wojskiem, więzieniami, ograniczeniem indywidualności ludzkiej, z jej purytanizmem i jej bezdenną naiwnością, a równocześnie krzyknięto nad uchem „Kuryerowe“ słowo: Patrzcie! to ewangelia wasza! To brat wasz rodzony!

Dla „Zapisków“ biednego fantasty mieliby niezawodnie tylko uśmiech politowania, ale dla prasy polskiej, roszczącej sobie pretensye do sterowania opinią publiczną i rozszerzania umysłowych widnokręgów narodu, mieliby pogardę, — nic, jak pogardę.

Podobno ks. Stychel organizuje w Poznaniu wyprawę na dortmundzkie kursa socyologii katolickiej. Co do nas to radzimy szczerze użyć wszelkich wpływów, aby mianowicie redaktorów „Kuryera Pozn.“ wysłać w te strony dalekie dla zatkania próżni umysłowej choć odrobiną znajomości prądów społecznych i kierunków ekonomicznych. Bo mnie wstyd Europy, wstyd kolegów — dziennikarzy innych zaborów, gdy taki „Kuryer“ et tutti frutti mówić zaczyna o socyalizmie i anarchii. Wybaczam ostatecznie dziennikowi politycznemu, gdy jego recenzent teatralny zyskuje sobie w zagranicznej prasie miano „fryzyera i fotografa“, wybaczam prasie codziennej, gdy łamy swoje otwiera gościnnie literackim niedorostkom, ale jeżeli pismo wy pisujące na sztandarach swoich walkę z socyalizmem i anarchią, pismo udające „polityczną powagę“ i służące za pokarm polityczny warstwom inteligentnym, zdradza na każdym kroku nieznajomość najprostszych elementów socyologii, prądów, kierunków i dążeń pulsujących w arteryach społeczeństw, to dla takiego ubóstwa ducha nie mam rozgrzeszenia. W dyskusyach nad obniżeniem poziomu umysłowego w Księstwie spotykamy stale twierdzenie, że ciężka walka o byt i śmiertelne zapasy z germańskim polipem wyjaławiają mózgi poznańskie, ale nie będę fałszywym analitykiem, gdy do przyczyn naszego skarłowacenia zaliczę zgubne wpływy bezmózgowej prasy. Jakże ten naród ma zakwitnąć wiedzą, gdy dostarczyciele jego strawy umysłowej zdradzają na każdym kroku cechy niemowlęctwa! Temat ten poruszam już po raz drugi w krótkim odstępie czasu, ale nasze próżnie redaktorskie stanowią istotnie tak piekącą ranę społeczeństwa, że drażni ona bezustannie i codziennie niemal syczy swoje „Jestem“. *Sulla.*

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** W dniu 26 września odbyły się wybory do sejmu galicyjskiego z kuryi włościańskiej. Stronnictwo ludowe zyskało 7 mandatów (dawniej 6, obecnie 13). Upadł ks Adam Sapieha (jun.) prof. Zoll, Popowski, hr Męciński, br. Stadnicki, Rey i Paszkowski — W Poznaniu odbył się wiec ewangielickiej misyi wewnętrznej. Wielkie wrażenie wywarło przemówienie Stöckera. — Projekt ograniczenia handlu domokrążnego nie stanie na porządku obrad w parlamencie niemieckim. — Utrzymuje się uporczywie pogłoska, że car Mikołaj odwiedzi cesarza Wilhelma w Rominten. — Powstanie w Macedonii chyli się ku końcowi. Sułtan kazał rozpuścić powołanych do broni rezerwistów.

* **Teatr i muzyka.** Z nowo zaangażowanych artystów sceny poznańskiej zaprezentował się p. Nowacki w „Grubych rybach“ Bałuckiego jako aktor rutynowany ale zepsuty wpływem małomiejskich teatrów, lubujący się w szarży i karykaturze. — Sudermann wykończył dla teatru w Burgu nową sztukę p. t. „Das Glück im Winkel“ (Szczęście w zakątku). — Björnstjerne Biornson wystawi niebawem drugą część dramatu swojego p. t. „Nad możność“. — Między premierami teatru poznańskiego figuruje „Ciepła wdówka“ Bałuckiego, „Łotrzyca“ Zalewskiego i „Towarzysz pancerny“ Wołowskiego“. — Teatr lwowski zamierza wystawić nową sztukę H. Piątkowskiego p. t. „Parweniusz“. — Artystka teatru poznańskiego, pani Łaska, debiutowała na scenie warszawskiego teatru „Rozmaitości“ w „Nitouche“ i „Biednej dziewczynie“. Krytyka wyraża się pochlebnie o temperamencie i humorze wodewilistki naszej. — natomiast wypowiada ujemną opinię o śpiewie pani Łaskiej. — Pani Honorata Leszczyńska wystąpi na warszawskiej scenie gościnnie w sztuce z angielskiego „Niobe“. — W Poznaniu krążą uporczywe pogłoski, że p Dobrowolski zamierza złożyć urząd dyrektora teatru naszego — W listopadzie lub grudniu teatr poznański obchodzić będzie srebrny jubileusz istnienia swojego. — W sobotę wystawi teatr Poznański pięcioaktową sztukę Ostrowskiego p. t. „Intratna posada“. Utwór ten zyskał sobie w Krakowie uznanie krytyki i publiczności.

Zmarli:

* **Dr. Bardeleben**, profesor medycyny przy uniwersytecie berlińskim, zm. 24 września w Berlinie.

* **Klara Andersen**, najpłodniejsza autorka dramatyczna Danii, zm. w Kopenhadze.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. Z historyą sztuki w pojęciu nazwisk i faktów zapoznać się łatwo z książek, ale poznać sztukę samą, zrozumieć jej piękno, wyrobić w sobie krytycyzm artystyczny, odczuwać ducha poszczególnych okresów i prądów, wreszcie przyswoić sobie znajomość techniki, — tego wszystkiego tylko obcowanie z sztuką samą nauczyć może Szanowną Panią. Kolekcye fotografii, o których Pani wspominasz, są niewątpliwie dobrym środkiem pomocniczym, ale wątpimy, czy wystarczą do osiągnięcia zamierzonych celów. Jako podręczniki historyi sztuki polecamy na razie: 1) L ü b k e a) Geschichte der italienischen Malerei; b) Allgemeine Kunstgeschichte. 2) F r o m e n t i n. Les maîtres d'autrefois.

Jednemu z urażonych. Ze względu na bezimienność listu życzeniu Szan. Pana zadość uczynić nie możemy. Nadmieniamy zresztą, że krytyka nasza oparta jest na dokładnych informacyach i obserwacyach, lubo przyznajemy, że część winy spadać może na żywioły obce.

A. Z. Lwów. Nadesłanych przekładów nie zamieścimy dla braku warunków literackich.

Uczciwy. Na takie gadziny nie ma lekarstwa. „Der schrecklichste der Schrecken ist der Kampf mit Ungeziefer“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.